



JEDNODNIÓWKA ZWIĄZKU PODHALAN WYDANIE POŚWIĘCONE ZIEMI PIENIŃSKIEJ

Ludźmierz

1979

Cena zł 25

TADEUSZ STAICH (Zakopane)

Szczeście ziemi, radość ziemi

Zwrócił się kiedyś do mnie jeden ze znakomitych polskich pisarzy, bym jako przewodnik poprowadził jego wnuczkę, Polkę z Ameryki, przez Tatrę, Pieniny, Podhale i Kraków. Było na to sporo czasu, aż siedem tygodni, więc program mógł być bogaty w ścieżki i drogi, a przede wszystkim w piękno na drogach tych spotykane. Panna stawiała się punktualnie, wyekwipowana należycie, uzbrojona w nowoczesnego Forda, którym jeździła jak szatan. Wadą jej było, że nie uznawała na drogach Podhala mniejszej prędkości, niż sto na godzinę. Ale jak widać, przeżyłem to jakoś w całości, nie posklejany, a i dziewczyna wyszła z tych akrobatycznych etud jeszcze szybszą i bardziej zawziętą automobilistką.

Była młoda i piekielnie inteligentna. Wiedzy o świecie też miała niemało. Starzy — mówiła — aplikowali mi raz na rok parę tygodni Europy, więc od trzynastego roku życia łykałam stary świat. Zaczęłam od Grecji. Potem kolejno Italia, Hiszpania, Francja, Niemcy, Anglia i w zeszłym roku Austria. No, a teraz ojcowizna moich Dziadków i Rodziców: Polska.

— Jakie pierwsze wrażenia?

— Ogromne, jeśli chodzi o wieś. Krajobraz wsi dla mnie, to oczywiście pewnego rodzaju egzotyka,

ale przede wszystkim chcę powiedzieć, że w tym krajobrazie jest bardzo wiele piękna. Ukazuje się ono głównie w idealnej chyba harmonii między kształtem i kolorem pól, miedz, wierzb, topoli, a architekturą drewnianą i murowaną.

— A miasta?

— Widziałam tylko Warszawę i to w ciągu trzech dni. Nie mogę nic jeszcze konkretnego powiedzieć...

Owe konkretne sądy, bystro i celnie wypowiedane na gorąco, a potem kontrolowane i chętnie ujawniane, nadeszły rychło w miarę poznawania polskiego Południa. Nasza panna zwiedziła również szereg innych regionów i duże miasta polskie. Gdy po czterech bez mała miesiącach zobaczyłem się z nią ponownie, już na wyjeździe do Ameryki, zapytałem:

— No, więc widziała Pani Polskę. Można powiedzieć, że to „widzenie” było dość dokładne. Które miasta, które okolice podobały się najbardziej?

— Proszę Pana, powiem bardzo krótko, bez wahania. Kraków i Pieniny. Kraków to jedno z najpiękniejszych miast świata i serce Polski. Pieniny to jeden z najpiękniejszych regionów na kuli ziemskiej. I taki szczęśliwy. Taki radosny.



Sromowce Niżnie, w głębi góra Macelowa.

(Fot. H. Zachwieja)

Tak jest. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to bardzo zdawkowe określenie. Nie można twierdzić, że turystka, o której była mowa, dokładnie poznała ziemię Pienin. A jednak sąd taki właśnie wyrażony, pokrywa się w całości z sądem tych, którzy Pieniny dobrze znają.

W słoneczne, kwietniowe południe, gdy idzie się granią Czertezika ku Sokolicy, widok zmusza do częstego wstrzymywania kroku. Pisze Józef Nyka w jednym ze swych przewodników, że „jeżeli naprawdę istniał kiedyś Raj..., mógł być z powodzeniem istnieć właśnie tutaj: w otoczeniu Szczawnicy i Krościenka”. Myślę, że właśnie z grani Czertezika ukazuje się sam środek Raju, szczęście Ziemi, Dolina Pienińskiego Potoku. Ziemia tryska tu radością, ukazuje piękno najwyższe, wygrywa je niejako na białoskalnych strunach rozpiętych wzdłuż żeber Zamkowej Góry. Wiele tysięcy składników tworzy to piękno, ale te tysiące w logicznym i przez to wspólnym ze sobą połączeniu sprowadzają się do krajobrazowej jedności nie wiele mającej równych sobie na świecie.

Podobnie na ścianach Piecek, w ich ciswym borze i królestwie jałowca sawiny, albo w tajemniczych Ligarkach, na ich zerwach porośniętych urwiskowym lasem, który nigdy nie miał kontaktu z człowiekiem. W okolicy, w niektórych miejscach, na półkach i we wnękach skalnych panuje wieczna zieloność, jakby wieczna wiosna; wapieniolubne rośliny nie umierają jesienią, często w zi-

mie pozostają zielonożywe, skrzętnie oddychające ciepłym, grudniowym słońcem, wciskającym się w wapienie, tu szukającym jakby zimowego azylu. A na początku Wysokiego Miesiąca, czerwca, ileż tutaj kwiecica! Rozchodnik pieniński, dziewanna, mokrzyca, pięciornik, a tam, gdzie jest trochę próchnicy — świetlik, posłonek, chaber, irga, traganek, naradka, czerwiec, konwalia, śliczna lilia złotogłów. Zanim jednak pełnia wiosny tak się wzbogaci, to wczesne jej dni przysypią góry złotem smagliczki Arduina. Zupełnie, jakby artysta powłócił skałę najwyższej próby złotą folią...

Z grani Czertezika godzinami można patrzeć na las w Dolinie Pienińskiego Potoku. W jodłę i buk wprosiła się gdzieś lipa i grab, a także klon, wiąz, jawor, rzadki cis, sosna, leszczyna, olsza; czasem na stoku niespodziewanie pokaże się dzika jabłonka albo czereśnia. Z tych drzew sosna nas zastanowi wolą życia i pokonywaniem najtrudniejszych warunków na ścianach skalnych, urwiskach i graniach.

W ogóle wszystko tu jakby rozweselone, jakby najszcześniejsze, garnie się do światła, do błękitu nieba nad Pieninami. Na jasnych polanach ukazuje się sarna o imponujących porożach, tu i ówdzie pojawi się borsuk i kuna, lis, smużka czy orzesznica. Owszem, trafi tu czasem wilk i jelen, a na Czertezowych spadach pojawia się ryś. W powietrzu króluje orzeł przedni, którego powietrzny dwór tworzą jarząbki, myszołowy, krogulec, cie-

ziemia ta była granicą dwóch światów: Wschodu i Zachodu. Umysłowa i materialna kultura Bizancjum otarła się aż o Dunajec, który był nie tylko drogą handlową i dyplomatyczną. Od czorsztyńskiej warowni zaczynający się nadrzeczny system obronny stanowił o ochronie dóbr kraju od czasów piastowskich. Dzisiaj łopotka archeologa ujawnia wielkość tej historii; ziemia odkrywa relikty przeszłości, daje świadectwo wielkiej sprawie.

Polscy ludzie gęsto zasiedlili tę ziemię. Niosła ona wielorakie pożytki i dobra zarówno materialne, jak duchowe. Dzisiaj głównym jej walorem o dużym znaczeniu społecznym i gospodarczym jest piękno naturalnego krajobrazu i rozliczne zasoby kultury. Pokolenie nasze nazbyt urzeczzone możliwością technicznego uzbrojenia, a także „ratowania” ziemi przed wielką wodą, popełniło błąd w postaci rozpoczęcia realizacji tzw. zalewu czorsztyńskiego, przekreślając niepowtarzalne i istotne wartości Ziemi Pienińskiej, niszcząc jej naturalne piękno. Ziemię tę, a także dalsze okolice można było zupełnie inaczej, nie takim właśnie kosztem uchronić przed żywiołem wody. Stało się. Teraz

trzeba mobilizować wszystkie siły, by wyjść z tej operacji choć w części obronną ręką. Jak uratować mikroklimat Pienińskiego Parku Narodowego dla zachowania jego pierwotnej, naturalnej struktury ekologicznej? Jak ocalić od zawilgocenia i podmycia Frydman, Dębno, zamek niedzicki i czorsztyński? Jak najlepiej w najgorszych warunkach i możliwościach urządzić „ratowniczy” park etnograficzny Ziemi Czorsztyńskiej?

Jakże trudno wyobrazić sobie tę ziemię zniszczoną przez człowieka, inną niż była i jest... Utrata jej tożsamości, naturalnej autentyczności, stanie się w najbliższej przyszłości faktem. Przez pewien czas jednak — oby był on jak najdłuższy — zostanie dla nas grań Czertezika nieskażona ludzkim działaniem, preferującym efekt i zysk materialny nad bezcenną wartość przyrodniczą i duchową. Może jeszcze okolice Grywałdu i Krościenka będą w podobnej sytuacji, jak grań Czertezika i jej poblizze.

Tam też, w tych zdrowych, naturalnych enklawach objawiać się będzie jeszcze jednemu pokoleniu szczęście ziemi, radość ziemi.

JAN POLACZYK (Szczaownica)

NUTA

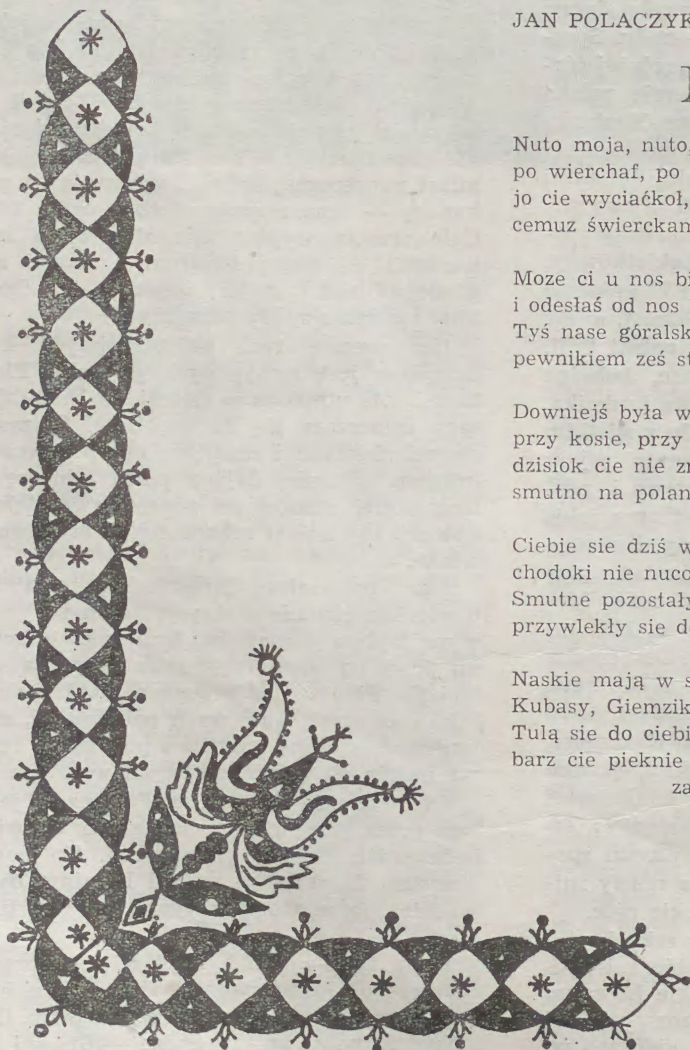
Nuto moja, nuto, coś się rozlegała
po wierchaf, po turniaf, po ubocy,
jo cie wyciaćkoł, w tobie radość cało —
cemuz świerckami zlewos moje ocy?

Moze ci u nos bieda dokucyła
i odesłaś od nos het we świat daleki?
Tyś nase góralskie zycie weseliła,
pewnikiem ześ staro i mos duze roki.

Downiejsz była wsędy — jaz hucaly góry —
przy kosie, przy plugu, przy owcach na holi,
dzisiok cie nie znają te góralskie córy —
smutno na polanie, przy grabiaf na roli.

Ciebie sie dziś wstydzom dziopy malowane,
chodoki nie nucom na wierchu Jarmuty — — —
Smutne pozostały te werški kochane,
przywlekły sie do nich te ceperskie nuty.

Naskie mają w sercu Wiwry, Haledroki,
Kubasy, Giemziki i harne Goryle.
Tułą sie do ciebie Dunajca flisoki —
barz cie pieknie pytom:
zawróć choć na chwilę!



ZIEMIA PIENIŃSKA — dawniej i dzisiaj

PERSPEKTYWY SZCZAWNICY-KROŚCIENKA

Najdawniejsze dzieje Szczawnicy wiążą się z historią osadnictwa w Beskidach i na Podtatrzu. Pierwsze wzmianki o istnieniu Szczawnicy pochodzą z XV w. Jako uzdrowisko znana była już w początkach XIX wieku. Obecnie jest miejscowością o charakterze turystyczno-wczasowo-uzdrowiskowym. Łagodny klimat i wody lecznicze spowodowały, że od półtora wieku przyjeżdżają tu na leczenie kuracjusze. W Szczawnicy przebywało wiele sławnych osób, m. in. H. Sienkiewicz, M. Konopnicka, I. Kraszewski, J. Matejko, K. Norwid, H. Modrzejewska, St. Wyspiański.

Szczawnica jako wieś letniskowa, następnie uzdrowisko sezonowe, znajdowała się w rękach prywatnych hr. Adama Stadnickiego. Nastawiona była przede wszystkim na eksploatację istniejących urządzeń i wód mineralnych. Według materiałów z tamtych lat, w sezonie letnim na leczenie przybywało ponad 4.000 kuracjuszy i to głównie ludzie zamożnych. Taka sytuacja nie pozwalała na racjonalne wykorzystanie bogactw naturalnych oraz zatrudnienie miejscowej ludności.

Peryferyjne położenie w stosunku do ośrodków życia gospodarczego i kulturalnego oraz prymityw gospodarki rolnej pogłębiały proces przeludnienia wsi. Bezrobocie było zjawiskiem powszechnym, toteż bardzo dużo osób i rodzin wyjeżdżało na poszukiwanie pracy do USA. W 1939 r. zatrudnionych było ogółem 320 osób. Okupacja jeszcze bardziej pogorszyła warunki życia. Zapanował głód, a ludność sprzedawała odzież i meble za kawałek chleba.

Niezwłocznie po ustaniu działań wojennych — dzięki ofiarnemu wysiłkowi i zaangażowaniu poważnej części społeczeństwa — przystąpiono do naprawy szkód i uruchomienia zakładów pracy. W tym czasie upaństwowiono też sanatoria stanowiące ongiś własność hr. Adama Stadnickiego. Głębokie przemiany, które nastąpiły w gospodarce miasta w okresie powojennym spowodowały jednocześnie przeobrażenia w warunkach bytowych ludności. Zlikwidowano bezrobocie i przeludnienie wsi. Wielu rolników otrzymało gospodarstwa w Szlachtowej i Jaworkach oraz na Ziemiach Zachodnich. Ogromny wysiłek, jaki został dokonany w historycznie krótkim czasie, widoczny jest np. w tym, że w Szczawnicy dawniej ludzie szukali pracy, a obecnie praca szuka ludzi.

Do ważniejszych inwestycji, mających wpływ na dalszy rozwój uzdrowiska, należy zaliczyć: wybudowanie wodociągów i kanalizacji, osiedla mieszkaniowego, doprowadzenie z Nowego Targu i Nowego Sącza linii wysokiego napięcia, zelektryfikowanie wsi należących do miasta — Szlachtowej i Jawork.

Szczawnica nie miała ani metra kwadratowego chodnika i trwałej nawierzchni; obecnie przebudowano i zmodernizowano niemal wszystkie ulice miasta. Oddano do użytku kilka budynków sanatoryjnych m. in. dla hutników i górników oraz innych obiektów jak: pogotowie ratunkowe, przystań flisacka i kajakowa, centrala automatyczna, przekaźnik telewizyjny, dom handlowy, 4 parkingi, 2 szkoły, sanatorium ZNP, Myszków, Zakład Przyrodolecznicy i inne.

Kilka obiektów znajduje się w toku budowy (Budowlani, CZSP, Energetycy, Hydrobudowa i inne). Obserwuje się też dynamiczny rozwój budownictwa indywidualnego. Oblicza się, że tylko w latach 1958—1969 wydano na inwestycje ponad 500 milj. zł, czyli zrobiono więcej niż w okresie 167-letniego istnienia Szczawnicy. Można śmiało stwierdzić, że Szczawnica z drewnianej stała się mурowaną i z uzdrowiska sezonowego — dużym i czynnym przez cały rok kombinatem zdrowia. W dowód uznania za wysiłek włożony w rozwój miasta — Szczawnica z okazji Święta Odrodzenia w roku 1962 otrzymała prawa miejskie.

Z dniem 1 stycznia 1973 r. Szczawnicę i Krościenko połączono w jeden organizm administracyjny. Pierwszym krokiem b. Prezydium MRN w Szczawnicy-Krościenku było opracowanie programu rozwoju społeczno-gospodarczego Krościenka, zmierzające do załatwienia najpilniejszych potrzeb terenu. Poczyniono starania w celu przyspieszenia opracowania korekty planu przestrzennego dla dwumiasta w świetle obecnych potrzeb ze szczególnym uwzględnieniem zwiększenia terenów pod budownictwo indywidualne oraz sanatoryjno-wypoczynkowe. Plan ten ma być gotowy w 1978 r. Przygotowuje się dokumentację na ujęcie wody z Dunajca, drugą nitkę kanalizacyjną i oczyszczalnię ścieków. Inwestycje te są przewidziane do realizacji w latach 1976—1980. Opracowuje się też dokumentację na zaplecze dla RPGK.

Przeprowadzony został remont kapitalny ulic: Kąty, Niwki, Tylki, Krasu, Jarek, Kościuszki, Kingi, Źródlanej, Polnej, Jagiellońskiej, Trzech Koron. Otwarto kilka placówek kulturalnych, handlowych i usługowych. Na mocy porozumienia zawartego pomiędzy Prezydium WRN a Zjednoczeniem Uzdrowisk — Krościenko otrzymało status uzdrowiska z programem rozwoju usług i obiektów uzdrowiskowych. Obecnie podjęto energiczne starania mające na celu wykup terenów pod budownictwo jedno- i wielorodzinne; przygotowuje się dokumentację Osiedla II-Poloniny wraz z kotłownią c.o., dokumentację na budowę nowych ulic: Pod Sadami, Ogrodowej, Sewerynowka i Rynku oraz dla cmentarza w Szczawnicy i Krościenku.

Trwają przygotowania do budowy przedszkola na 120 dzieci w Szczawnicy i Jaworkach oraz Przychodni Rejonowej. Zagospodarowuje się baseny kąpielowe na Grajcaрку i w Krościenku. Trwa budowa dwóch zbiorników przeciwpożarowych w Tylce i Kątach oraz regulacja potoku Grajcarek. Rozpoczyna się budowę wyciągu krzeselkowego na Palenicę.

Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego w Krakowie opracowało studium możliwości rozwoju dwumiasta—uzdrowiska wraz z najbliższymi miejscowościami: Hałuszową, Krośnicą, Grywałdem i Tylmanową. Proponuje się tu m. in. powiększenie bazy sanatoryjnej z 2 tys. do 3,5 tys. łóżek oraz pozostawienie Szczawnicy funkcji lecznictwa uzdrowiskowego, dla Krościenka natomiast wyznacza się przede wszystkim funkcję zaplecza gospodarczego i komunalnego.

Ludność stale zamieszkująca Szczawnicę-Krościenko wzrosło z 10 tys. obecnie do maksimum 19 tys. Oczywiście Szczawnica-Krościenko, uważane jako centrum mikroregionu pienińskiego, musi

wśród swoich podstawowych funkcji uwzględnić także wczas, turystykę i sport. Sugeruje się więc, iż docelowa pojemność tego centrum winna zamknąć się w liczbie 60 tys. osób, które jednorazowo — wraz ze stałymi mieszkańcami — mogą w tym rejonie przebywać.

Zakłada się przeniesienie całego zaplecza komunikacji i motoryzacji oraz CPN z uzdrowiska do Krościenka. Zlokalizowane będą tam niezbędne zakłady produkcyjne GS, jak: masarnia, piekarnia, rozlewnia wód gazowanych. Miasto musi otrzymać nowe rozwiązania układu komunikacyjnego. Sugeruje się budowę obwodnicy wyprowadzającej ruch samochodowy z centrum uzdrowiska i szereg innych rozwiązań komunalnych, a w tym m. in. wciąż otwarta jest sprawa gazyfikacji miasta.

Są to zadania dalekowzroczne i dla zrealizowania tych planów potrzebna jest pomoc władz wojewódzkich, mobilizacja wszystkich sił i środków tak aktywny jak i Przyjaciół Ziemi Pienińskiej oraz całego społeczeństwa miasta.



MICHAŁ SŁOWIK-DZWON (Szczawnica)

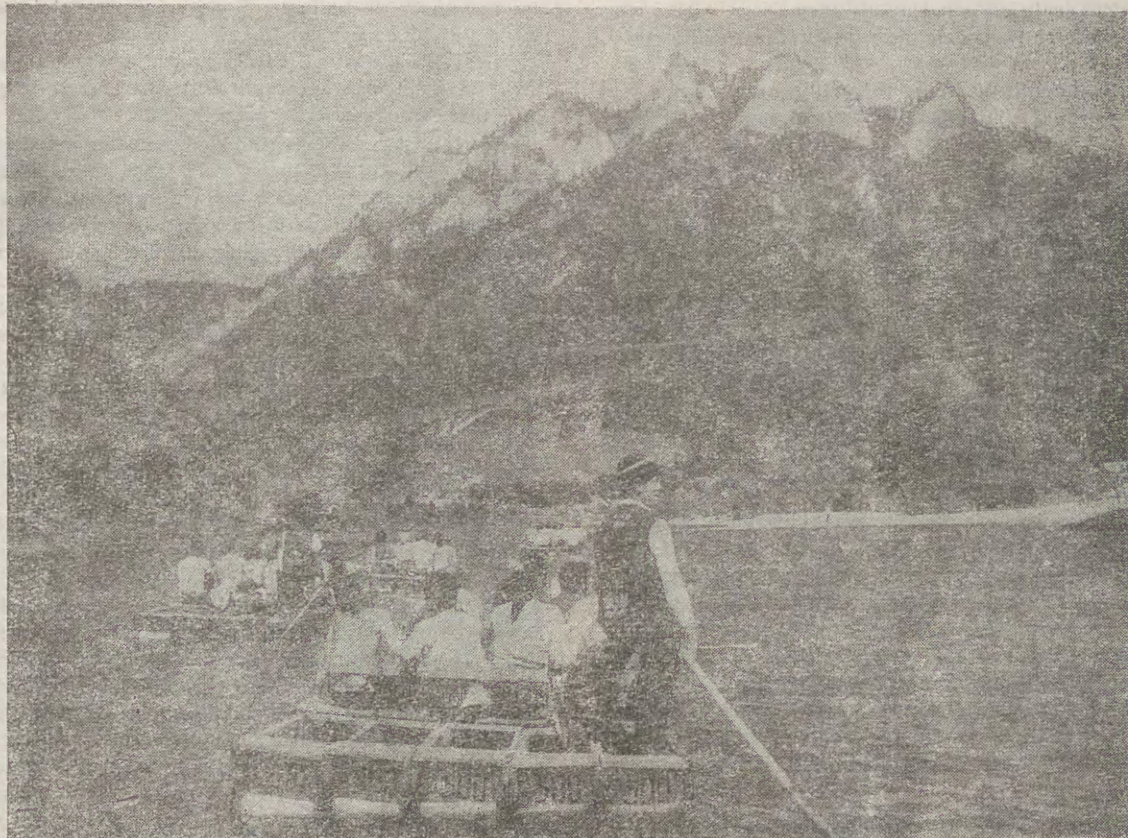
PIENIŃSKA KRAINA

„Pienińska kraina” to stara, ludowa nazwa Ziemi Pienińskiej. Nieduży to skrawek ziemi, w jeden dzień można obejść jego granice. Z jednego końca rubieży gołym okiem zobaczysz drugi. Wnet by skałą przerzucił nad nią. Mała w obszarze, ale duża w bogactwie. Przyroda nie poskąpiła jej piękna. Przydała tej ziemi kopiaiste wierchy, białe skalice pomiędzy zieleń lasistych ubocz, pienisty Dunajec i rwące potoki, odpoczywające równie pod stromiskami gór, a wewnątrz minerały leczniczych wód i kruszcze. Nawet złoto, jak mówi legenda o jarmuckiej dziurze. Wokoło ciemne lasy ze swymi „bywalcami”.

Władczy człowiek pozakładał osady, wybudował modrzewiowe dworzyska i murowane zamki: legendarne dworzysko Rabsztyn, Skalkę, Homole, gontynę na Jarmucie, zamek Kingi w Pieninach, grodzisko w Sromowcach, historyczny Czorsztyn i jego kumoszkę Niedzicę już na spiskiej ziemicy, ale przecież na skale Pienin. Władczy człowiek odszedł, pozostał jednak ten pierwszy, który zawaładną polaciami puszczy. Rąbał on lasy i wypalał „łazki”, by wyrobić pole pod zasiew owsa, jak też polany i hale dla wypasu zwierząt domowych. Grzebiąc tę skalistą ziemię, wrastał w nią korzeniami. Wrósł ciałem i duszą. Podpatrywał loty skalnych sokołów wzbijających się w górę, bo chciał i on być wolnym i podążać jak one. Zaczął tworzyć swoją własną kulturę.

Otoczające łagodne wierchy Beskidu Sądeckiego, Gorców i Magury Spiskiej dały mu charakter spokojny, chociaż czasami te strome, przepaściste skalice Pienin „pohuckują” go do cięcia rąbanicą. Wybucho, ale na krótko. Czar Pienin kazał mu kochać te „końdki” uroczysk, sielankowe polanki, po których sarny i jelenie hasają, te czarnuchy lasów, z których błyszczą koronami skalice, te poszumy chwiejącej się cetyny, szelest liści buków i jaworów, szemranie rwących wód Dunajca i jego „byстрых chłopców”, górskich potoków. Ta pienińska „carowna mamuna” owaładnęła wszechmiar, każe kochać przyrodę i człowieka. Więc ją pokochał. Pienińskie łąki usiały się barwami kwiatów. Dłaczegóż człowiek nie mógłby się w nie ubrać? Upajające piękno przyrody, jej zachwyty, rozbudziły wyobraźnię, posyciły rzut umysłu i kazały tworzyć przedziwne „cyfry”, którymi ozdabia swój ubiór.

Piękno rodzi artystów, a ci chcą je naśladować. Pienińszczyzna stanęła „wantem” na rozstajnych drogach, pełnych maszerujących na podbój kultur regionalnych. Oto od wschodu kultura łemkowska, rusnacka, spadkobierczyńi wołoskiej, falująca śpiewem „dumanych” melodii, przewrażliwiona obrzędami, zwyczajami, tradycją, a także prasłowiańską pracowitością i szczodroliwością.



Przełom Dunajca pod Trzema Koronami.

(Fot. H. Zachwieja)

Od zachodu kultura podhalańska, butna w swej ślebobdzie, dzwoniąca ciupagami, w doliny patrząca orlim wzrokiem i wyostrzonymi jastrzębia pazurami. Patrząca na innych hyrnie i podufale.

Z południa kultura spiska, wystrojona w lajbiki ze świecącymi guzikami, na portkach w czerwone biskupich pachołków lampasy, w huzarskie ośminy wyszywań, a także w słowackie nuty, czardaszowskie i hajduckie tańce, wierzenia jadące na czarnoksiężnickim smoku, z czarami, gusłami i „babrami”.

A z północy, od „lachów, poloków” — bo tak Pienińscy nazywają Sądeczan — szio przywiązanie do ziemi, miłość dla ojcowizny, zaradność i gospodarność łączona z oszczędnością.

*Te beskidzkie wierchy i pienińskie skały
zeby się zderzyły, to by ognia dały*

Nie zderzyły się wierchy ani skały, lecz różne regionalne kultury; ze zderzenia tego poszedł ogień, z niego prysła iskra, a z iskry człek rozniecił żar pienińskiej kultury. Posiada ona oryginalność i własne stanowienie w budownictwie, stroju, melodiach, muzyce, we wszystkiej sztuce. Całość ta związana jest jak ciało z krwią — ziemią Pienin.

Pienińska kultura regionalna, idąca z tak małego skrawka naszej ojczyzny, wnosi do polskiej kultury narodowej własne bogactwo wypracowane w ciągu wieków. Bogactwo to nieustająco jest żywotne i bijące w górę; chce podążyć lotem za pieńskimi sokołami.

*Hej, pieński sokole, dyć jo tyz mom wole
zebyf se wylecioł nad Trzech Korun skole*

Pienińskie legendy krążą po kątach starych chat. Te jodiowe ściany, na zewnątrz wypiekłe od słońca, szerniałe od deszczu, postrzępione latami, gadają wewnątrz nie ino świerszczami po szparach zrębowych, nie ino brzękiem zmierzchłych much, lecz przeszłością tej górskiej krainy. Stare, wiekowe chaty czytają historię rodów chłopskich. Nie jest ona wypisana w księgach na pożółkłych kartach pergaminu „księdzowską mową”. Nie jest oprawna w połociste skóry ani srebrne okucia, pozbawiona jest malowanych, misternie zdobionych liter przez mnichów podolińskich, albo tych z Czerwonego Klasztoru. Te stare góralskie chaty słuchały, jak pradziad dziadowi, dziadek ojcowi, a ojciec mnie i ojcowie nam czytali z tragarzy przeszłość Pienińskiej Krainy.

Poorana, pożółkła jak pergaminy klasztorne twarz starców i dziadów młodniała, dostawała rumieńcy życia, gdy karta za kartą, czyli pamięć za pamięcią, czytała to, co dziadek opowiadał; „ocne panienki” czyli żrenice, które już wiekiem łzawiły, roziskrzyły się przy tym, jakby „mere” to wszystko widziały, a sine wargi z przykazaniem szeptały.

Tak to drzewiej bywało i tego se mój synu nie zaboc, ino se zapis dobrze w głowie, wbij se do niej jak klin, zebyś kiejs swoim wnukom dokumentnie opowiedziol.

Była to historia pisana gębą na gębę, dziadkiem na wnuka, rodem w ród. Legenda dziedzinowa, gminna, żywa, wieczna.

*Zahucaly góry, zasumialy lasy
gdzie sie popodziały staroświeckie casy?*

*Zadudniały wierchy, zajęły granie,
wiemy co minęło. Ale co sie stanie?*

Historyczną stolicą tej ziemi jest stare, królewskie miasto Krościenko, stolicą zaś regionu pienińskiego, jego swoistej kultury, jest Szczawnica. Krościenko związało się legendą z osobą księżnej Kingi, żony Bolesława Wstydliwego, z jej ucieczką przed Tata-rami i schronieniem się w zamczku pienińskim. Zna-czy to w sposób pewny, że już w XIII stuleciu było ono osadą. Tereny te, okolice Krościenka, były praw-dopodobnie wcześniej zamieszkałe; złożyła się na to bliskość traktu solnego, później królewskiego, oraz Dunajec zdolny do spływu.

Wszystko to jednak zakrywają mroki przeszłości. Źródła historyczne wspominają dopiero rok 1354. Ka-zimierz Jagiellończyk wydaje mieszczanom przywilej w roku 1485, zatwierdzający prawa i wolności nadane przez poprzednich królów, oraz przenosi miasto z prawa polskiego na magdeburskie. Jan Olbracht zatwierdza istniejący przywilej, a Zygmunt II August w roku 1569 nadaje cenny przywilej na jarmarki, które słynne były w dalszych okolicach. Stefan Ba-tory i Zygmunt III Waza zatwierdzili istniejące przy-wileje.

Późniejsi starostowie czorsztyńscy jako przedsta-wiciele króla zaczęli stosować ucisk i zdzierstwo wo-bec ludności miasta. W związku z tym wpłynęły do królewskiej kancelarii skargi od rajców Krościenka. Starostowie Siemiński i Baranowski, a także i póź-niejsi panowie na Czorsztynie, mścili się na mieszczu-chach. Wiedział o tym starościński folwark w Kro-ścienku, w którym jakoś się nie darzyło. Bydło prze-padało, wilki porwały owce, pola rodziły chwasty, a czerwony kur nieraz piał na kalenicach dworskich strzech. Starobiblijne słowa wprowadzono w czyn. Przywódcy mieszczan z Ćwiertniem na czele marzli na baszcie zamkowej lub gnili w lochach, a w zamian hajducy czorsztyńscy ginęli bez echa za nadgorliwość wobec swych panów. Gdy przechodziły lata chwilo-wego spokoju, nawiedzały miasto ciężkie epidemie, cholera, „morowe powietrze”.

Po pierwszym rozbiórce Polski Pienińszczyzna we-szła w skład tak zwanej Galicji, pod panowanie mo-narchii austriackiej. Przez czas pewien Krościenko było siedzibą powiatu. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918, miasteczko jakby się wy-prostowało, ożywiło; zaczął się spory ruch turystyczny i leczniczy. Ale niestety nie starczyło czasu na dźwi-gnięcie się pełne, na swobodny rozkwit. Tylko dwu-dziesiątoma latami ślebednego życia historia obdarzyła tę ziemię.

W czasie okupacji hitlerowskiej pienińska stolica przeżyła wiele złego. Aresztowania, mordowanie za-kładników, Żydów. A gdy stolica Polski wpisała w hi-storię swoje wielkie powstanie, to stolica pienińskiej krainy nie chciała być gorsza. W Szczawnicy doko-nano zamachu na niemiecki posterunek żandarmerii, przy czym ujawniła się organizacja podziemna. Fura-żerki z białym orłem, biało-czerwone opaski na rękawach, ogłosiły Powstanie Pienińskie. W Krościenku państwowa flaga polska załopotiała bielą i czerwienią

na zabytkowym kościele. Świątynia przepelniona lu-dem grzmiała hymnem *Boże coś Polskę* w czasie uro-czystego nabożeństwa. Błysła nadzieja wolności, która niestety — po stokroć niestety — przerodziła się w ciężki strach i widmo pacyfikacji.

Prezbiterium krośnieńskiego kościoła pochodzi z II połowy XIV stulecia, nawa zaś z 1546 roku, z okresu pełnego rozkwitu renesansu. Świątynię przebudowano w epoce późnego baroku, co starło nieco wcześniejsze cechy stylowe. Kościół posiada niezwykle cenne war-stwy polichromii, począwszy od scen z życia św. Bar-bary, malowanych w wieku XIV, aż po wspinałe, ciepłą barwą bijące kwatery renesansowe, malowane przez Jakuba Koraba z Nowego Targu.

Szczawnica ukryła się w jarze nad rzeką. Rzeka zmieniła nazwę już trzy razy. Najpierw nazywała się Szczawnik, potek Ruska Rzeka, obecnie zaś na-zywa się Grajcarek. Nazwa Szczawnik uzasadniła się nazwami wód mineralnych, zwanych szczawami, które wytryskają dookoła. Ruska Rzeka zaś początek bierze w łemkowskich wsiach, w Białej i Czarnej Wodzie, Jaworkach i Szlachtowej. Nazwa *Grajcarek* jest starą nazwą korkociągu, bo jak korkociąg wije się i kręci między kamieniami. Nad Szczawnicą góruje wierch Bryjarka ze skalistym, powulkanicznym grzbietem. Na szczycie stoi żelazny krzyż w pobliżu mogiły kon-federatów barskich. Na znanej wszystkim turystom górze Jarmucie stała drzewiej pogańska gontyna, po-święcona temuż bożkowi. Obecnie bardziej prozaicz-nym sposobem i wedle znaków czasu stoi wieża prze-kaźnika telewizyjnego. Już od dziesięciu lat, choć tylko w organach masowego przekazu, buduje się wyciąg krzeslejkowy na Palenicę z Hulina. Te zielone wierchy zalecają się właściwym Pieninom, które roz-tronowały się w pobliżu, pokazując lesisty warkocz Sokolicy i zęby trzech Koron.

O początku dziejów Szczawnicy mówi legenda. Ku-piecka droga od Adriatyku po Bałtyk przecinała pie-nińsko-karpacki jar od wieków. Greckie, czasami rzymskie „kupcyki” zdążyli karawanami, wioząc swe towary, jak jedwabie, sukna, korzenie do przypraw, wino, a z powrotem skóry futerkowe, bursztyn, miód i sól. Rycerze-rabusie pobudowali dworzyska obronne i zamki w pobliżu tejże drogi, by napadać na kupców lub brać od nich okupy. Według legendy takie dwo-rzysko drewniane stało na wierchu Niżnieńskiej Skal-ki koło Przehyby, a zamczki na Rabsztynie i w Ho-molach. Jeśli zamki budowane były na wierchach i skałach, wśród puszczy karpackiej, to doliny i wą-skie jary obok drogi musiały być zamieszkałe.

Szczawnica jako osada początkiem swoim sięga XIV wieku. Wspomina o niej po raz pierwszy Jan Długosz w swym *Liber beneficiorum*, przypisując jej bogate żyły złota, znajdujące się nad potokiem Go-mole czyli Homole. Te złoża złota to chyba źródła wód mineralnych wytryskujące w Szczawnicy i oko-licy, bo prawdziwych złóż złota dotychczas nie zna-leziono. W kopiastej górze Jarmucie znajdują się stare sztolnie i chodniki jakiejś dawnej zatopionej kopalni.

Szczawnica jako wieś posiadała sołectwo. „Sołty-sowi Janowi ze Szczawnic” nadają przywileje królo-wie: Kazimierz Jagiellończyk i Jan Olbracht. Drewniany kościół wybudowano w roku 1350, „który się ze starości zniszczył”, a na jego miejsce postawiono nowy, też drewniany, w roku 1550, który został roze-brany w roku 1884 po wybudowaniu nowego, muro-wanego w centrum uzdrowiska.

Szkoła parafialna istniała już od roku 1690, a o pobliski Podoliniec, gdzie była szkoła księży Pijarów, synowie pienińskich gazdów też często zahaczali, a szczawnicycy sołtysi nie „trzęśli portkami i nie zginali karków” przed czorsztyńskimi starostami, którzy chcieli garbować chłopską skórę, jak szlachta u lachów. Pisali petycje do króla, skarżąc się na krzywizny.

Słynna była tragedia w roku 1595 szczawnickiego wybrańca, Pawła Fleszera, który nie chciał odrabiać pańszczyzny na starościńskim folwarku Jana Łękawskiego. Ten podstępem zwabił go na zamek, więził i maltretował, a w końcu w mroźny dzień Matki Boskiej Gromnicznej kazał wyprowadzić na zamkowy ganek, gdzie Paweł Fleszer zmarzył. W roku 1811 rząd austriacki zniósł starostwo czorsztyńskie. Akt szacunkowy wspomina o dwóch źródłach w Szczawnicy wody mineralnej: „Jedno do picia, drugie do kąpiel”. Ludność miejscowa nazywała te wody „scawą”. Dzisiejsze źródła „Józefina” i „Stefan” wytryskiwały na gruncie należącym do miejscowego górala, Józefa Zachwiej-Józiopanka, który sprzedął parcelę, ponieważ nie był w stanie wybudować „kurortu”. W roku 1828 Stefan Szalay z Węgier nabył folwark starościński i odkupił parcelę ze źródłami, ujął zdroje, wybudował pierwsze budynki, dając początek uzdrowisku, którego właściwym twórcą, poświęcającym mu całe swe życie, był syn Stefana Szalaya — Józef Szalay. Jego to praca

utorowała uzdrowisku drogę do rozgłosu i sławy. W roku 1876 Józef Szalay zapisał w testamentie zakład zdrojowy Krakowskiej Akademii Umiejętności, a w roku 1909 Akademia, wbrew woli ofiarodawcy, sprzedała uzdrowisko hr. Adamowi Stadnickiemu z Nawojowej.

Po drugiej wojnie światowej uzdrowisko Szczawnica stało się własnością narodu. Władze nie szczędzą nakładów na różne inwestycje, aby zaniedbane uzdrowisko odzyskało swoją pozycję dzięki swym doskonałym wodom mineralnym, łagodnemu klimatowi, w zacisznej kotlinie, otoczonej lesistymi wierzchami. Dzisiaj leczą się tutaj ludzie pracy — górnicy, hutnicy, chemicy, budowlani ..

Przed kilku laty złączono Szczawnicę-Krościenko w jeden organizm administracyjny, tworząc miasto uzdrowiskowe. Na Ziemi Pienińskiej znajdują się jeszcze takie miejscowości, jak: Grywałd, Tylka, Hałuszowa, Krośnica, Sromowce Wyżnie, Sromowce Niżnie. Ponadto wioski połemkowskie: Szlachtowa, Jaworki, Biała i Czarna Woda. Na powyższe miejscowości oddziałuje strój szczawnicki, natomiast na Czorsztyń i Kluszkowce strój podhalański. Najstarsze z tych miejscowości to Czorsztyń i Grywałd, założone w połowie XIV stulecia.

Tak więc zarówno krajobraz, jak również kultura i sztuka tworzą z naszej Ziemi Pienińskiej wielki skarb Polski.

MICHAŁ SŁOWIK-DZWON

CZORSZTYN

O Kriście Paniel Ciorztynie, Ciorztynie,
co się z tobą stanie
kiedy cie omamią topielce
w jeziora wodzie
Pieninom skodzie

— piako z insemi moje serce.

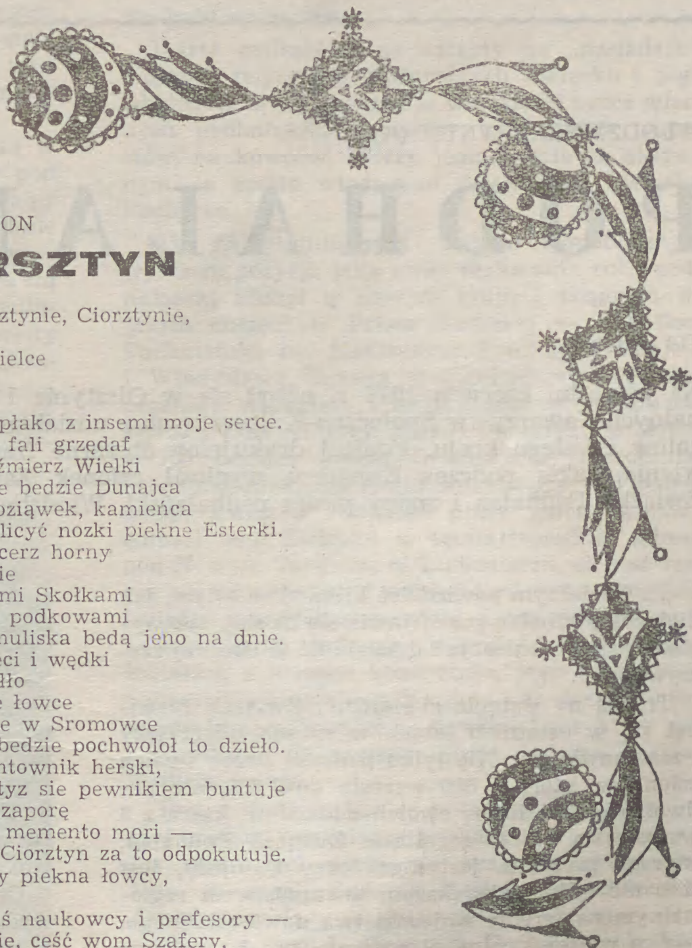
Po bystryf prędaf, po fali grzędaf
nie bedzie brodził Kaźmierz Wielki
bo staroświeckiego nie bedzie Dunajca
nie bedzie granitu, gloziąwek, kamieńca
by skalicyz nozki piekne Esterki.

Zawisa Corny, ten rycerz horny
juz konia nie dosiednie
na równi pod Zielonemi Skołkami
nie zrabie tloku ostro podkowami
bo tamok zmuliska będą jeno na dnie.

Nie taki prędko do sieci i wędki
król Władysław Jagiełło
on woli knieje i leśne łowce
kiedy na zjazdy jedzie w Sromowce
nie bedzie pochwołol to dzieło.

Kostka Napierski, buntownik herski,
tyz sie pewnikiem buntuje
fto to wymyślił, totą zaporę
prezent dło Pienin — memento mori —
niewinny Ciorztyń za to odpokutuje.

Hej górni chłopcy, wy piekna łowcy,
wy downi i ci
drzewiej zbójnicy, dziś naukowcy i prefesory —
— ceść wom Goellowie, ceść wom Szafery,
w obronie Pienin poliliście wici — — — —
Downiejsy Ciorztynie, coż po cie ostanie?
Jedno górnyf chłopców świercki i wzdychanie...



W SPRAWIE PISOWNI GWARY

Materiały pienińskie, które stanowią oblicze niniejszej „Podhalanki”, w znacznej mierze pisane są gwaramą górali pienińskich. Mniej zorientowanego czytelnika zdziwić może fakt, że — aby wiernie przekazać wymowę gwarową — nie drukujemy tych materiałów pisownią fonetyczną, to znaczy tak, „jak się mówi”. Otóż jest to niemożliwe z tego choćby względu, że pisownia fonetyczna dostępna i zrozumiała jest poprzez swe specjalne litery i znaki tylko dla fachowców, dialektologów lub polonistów językoznawców.

Co prawda niektórzy pisarze chłopscy starają się przy pomocy powszechnego alfabetu pisać tak, jak się mówi. Jest to forma przekazu pisemnego bardzo niedoskonała, wprowadzająca czytelnika w błąd lub w znacznym stopniu utrudniająca zrozumienie tekstu. Nie ma bowiem możliwości napisania „tak, jak się mówi” przy pomocy zwykłych liter alfabetu; żadna bowiem litera nie umożliwi prawidłowego odczytania na przykład pochylonego „e”. Podobne usiłowania spowodowały już w gwarowym piśmiennictwie podhalańskim ukazanie się wielu dziwolałów. Wystarczy przeczytać niektóre wiersze gwarowe, drukowane w prasie. Ale dziwolaży takie pojawiają się nie tylko na łamach czasopism. W pewnej znanej świetlicy na sosrębie wyrzeźbiono napis „Witojciy”, które to piękne powitanie należało oczywiście napisać po prostu „Witajcie”. Ktoś, kto zna gwarę, przeczyta końcówkę tego wyrazu zgodnie z zasadami wymowy

góralskiej. A ten, który zasad tych nie zna, przeczyta błędnie, to znaczy samogłoska „y” zabrzmii w jego ustach jak właśnie prawidłowe „y”, a nie jak „e” pochylone.

W tej chwili interesuje nas sprawa mówionej i pisanej gwary pienińskiej. Otóż tej mówionej gwary nie da się bezbłędnie przekazać w zwykłym piśmie. Michał Słowik-Dzwon, którego interesujące teksty gwarowe pomieszczono w niniejszej „Podhalance”, mówi bardzo pięknie gwaramą pienińską. Ale trudno wydrukować zdanie „Jechali ze zbyrcieniem śpizyków uwiązanych u dyśla” — w taki oto „fonetyczny” sposób: „Jechali ze zbyrcenię śpizyków uwiązanyw u dyśla”. A w takiej właśnie dokładnej postaci otrzymaliśmy zdanie to w nadesłanym tekście. Nie znający gwary pienińskiej czytelnik nie będzie w stanie odczytać tego alfabetycznego hieroglify, a góral pieniński... też sobie z tym nie poradzi.

Na zakończenie tych krótkich i niekompletnych uwag można bardzo ogólnie powiedzieć, że pisownia, jaką czytelnik spotyka w tekstach choćby Michała Słowika-Dzwona pomieszczonych na łamach niniejszego zeszytu, ma niejako przypominać, a nie starać się „naśladować” mowę. Efekt ten uzyskano przy pomocy takich zabiegów, które nie udziwiają ani nie zniekształcają pisowni, są czytelne, a więc zrozumiałe. Zabiegiem takim jest na przykład użycie samogłoski „o” w miejscu, gdzie w mowie występuje pochylone „a”. Zabiegiem takim jest tutaj również zachowanie mazurzenia („s, z, c, dz”, zamiast: „sz, ż, cz, dż”). Wreszcie tam, gdzie nie ma dwuznaczności lub zbytnej niejasności, zachowanie w pisowni wymianego „f” zamiast „ch”. (tst)

WŁODZIMIERZ WNUK (Kraków)

PODHALANIE

Od redakcji

Na początku czerwca 1977 r. odbył się w Olsztynie I Kongres Regionalnych Towarzystw Społeczno-Kulturalnych z udziałem ponad 200 delegatów z całego kraju. Poniżej drukujemy obszernie fragmenty przemówienia, jakie podczas Kongresu wygłosił członek Zarządu Głównego Związku Podhalan i znany pisarz podhalański, Włodzimierz Wnuk.

„... Chciałbym powiedzieć kilka słów o tym, jak Związek Podhalan przedstawia się dzisiaj, jak wygląda jego organizacja i działalność w obecnej rzeczywistości.

Trzeba na wstępie stwierdzić: Związek rozwinął się w ostatnich latach w sposób uderzający i zastanawiający. Nie tylko podwoił liczbę swoich członków, która z 800 wzrosła do 1.600, ale podwoił również liczbę swoich oddziałów, która z 8 wzrosła do 17. W rezultacie Związek Podhalan, którego prezesem jest mgr Jerzy Ustupski, jest dziś nie tylko największym towarzystwem regionalnym na terenie województwa nowosądeckiego, ale co więcej, swoimi placówkami objął — po raz pierwszy w swojej blisko 60-letniej historii — dosłownie całe szerokie Podhale, wszystkie jego

subregiony. Na Skalnym Podhalu działają oddziały Związku w Zakopanem, Poroninie, Bukowinie Tatrzańskiej, Zębie, Białym Dunajcu, Kościelisku i w Chochołowie, na Niżnim Podhalu w Nowym Targu, Ludźmierzu, Czarnym Dunajcu i Łopusznej, na Orawie w Zubrzyicy Górnej, na Spiszu w Łapszachs Niżnich, w Ziemi Pienińskiej w Szczawnicy, w Ziemi Gorczańskiej, przylegającej do Podhala, w Rabce i w Mszanie Dolnej. Wreszcie oddział o charakterze akademickim w Krakowie.

Od tego faktu, jakże pozytywnego, ważniejsze wydaje mi się inne zjawisko, związane zresztą z tamtym. W szerokich kręgach społeczeństwa podhalańskiego nie słabnie, lecz przeciwnie, narasta zainteresowanie dla tego, co nazywamy kul-



turą regionalną, z czym z kolei łączy się większe i bardziej autentyczne niż dawniej zaangażowanie w działalność mającą na celu rozwój tej kultury i w tę organizację, która temu celowi bezpośrednio służy, tj. Związek Podhalań. Obserwujemy na Podhalu jakże miłe dla nas, regionalistów, zjawisko, że coraz większa liczba ludzi z wyższym wykształceniem, mających dyplomy doktorów, inżynierów, lekarzy itp., nie tylko uczestniczy w imprezach regionalnych, ale bierze w nich aktywny, współtworzący udział nierzadko we własnych strojach regionalnych.

I co na to powiedzą ci publicyści, którzy od dawna starają się nas przekonać, że procesy społeczne nieuchronnie prowadzą do zaniku regionalizmów i ludowego folkloru?

Oczywiście, procesy te, powiązane z migracją milionów ludzi ze wsi do miasta i ze zmianą stylu ich życia, z ich pracą w przemyśle i różnych miejskich zakładach i instytucjach, w których strój regionalny jest niewygodny i nieprzydatny, musiały doprowadzić do porzucenia tego stroju i zwyczajów regionalnych przez dużą część ludności wiejskiej, osiadłej teraz lub pracującej w miastach. Ale wszędzie tam, gdzie umiłowanie kultury regionalnej jest jeszcze duże i gdzie rozwijają swoją żywą działalność towarzystwa regionalne, strój ludowy jest wciąż jeszcze przynajmniej świątecznym ubiorem tysięcy ludzi. Jesteśmy na Podhalu, przecież już bardzo uprzemysłowionym, w tym szczęśliwym położeniu, że spora część ludności wiejskiej nosi wciąż jeszcze strój góralski na co dzień, a chyba jej większość nosi go w dniach świątecznych i przy świątecznych okazjach.

Procesy społeczne, jakie zaszły i zachodzą w naszym kraju, mogły mieć i zapewne miały pod niektórymi względami ujemne skutki dla ruchów regionalnych, jak wyżej wspomniane — podobnie dzieje się w innych krajach szybko się uprzemysławiających — ale ważniejsze od nich wydają mi się pozytywne skutki, jakie owe procesy przyniosły. Myślę o ogromnym upowszechnieniu oświaty i wiedzy w naszym kraju, słownie zwanym „krajem ludzi kształcących się”, o tych milionach ludzi, którzy zdobyli wyższe i średnie wykształcenie, a którzy weszli przecież w krwiobieg życia kultu-

ralnego swoich regionów. Regionalne towarzystwa społeczno-kulturalne, które skupiały się dawniej wokół nielicznych przedstawicieli miejscowej inteligencji, oddanych sprawom swojego regionu i jego kultury, dziś mają oparcie o nieporównanie szersze jej kręgi. Tak jest przynajmniej w Związku Podhalań, w którego jednym tylko, co prawda największym, oddziale zakopiańskim, jest dziś bodaj więcej członków z wyższym wykształceniem niż bodaj w całym przedwojennym Związku Podhalań.

To oczywiście musiało wpłynąć na ożywienie życia kulturalnego w naszym Związku, na wyraźny w nim wzrost rangi spraw kulturalnych. I oto szereg oddziałów Związku, które zarówno w latach przedwojennych, jak i przez pewien jeszcze czas w Polsce Ludowej, ograniczały się do akcji widowiskowo-folklorystycznej, rozpoczął w ostatnich latach systematyczną działalność kulturalną w postaci stałych „posiadów góralskich”, połączonych z prelekcją i dyskusją, i cieszących się za zwyczaj, z uwagi na regionalną tematykę i oprawę — na „posiadach” przygrywa kapela, odbywają się śpiewy, tańce itp., — dużym powodzeniem. Niedawne okrągłe rocznice urodzin i śmierci Kazimierza Przerwy Tetmajera, Władysława Orkana, Jana Kasprowicza były obchodzone przez poszczególne oddziały Związku ze wrzuszającym zaangażowaniem się ogółu członków, z ich pełnym zrozumieniem znaczenia tych wielkich twórców dla kultury regionu.

Warto podkreślić, że odczyty na „posiadach” i innych imprezach kulturalnych Związku i jego oddziałów są wygłaszane w większości przez własnych podhalańskich pisarzy, publicystów, artystów, naukowców, którzy jednocześnie są aktywnymi, a często wiodącymi działaczami Związku Podhalań.

Ale najdobitniejszym, niejako symbolicznym wyrazem pozycji, jaką sobie regionalny ruch podhalański zdobył w naszym kraju i osiągnąć, do jakich doszedł w Polsce Ludowej — jest Dom Podhalański im. Kazimierza Przerwy Tetmajera i Władysława Orkana w Ludźmierzu. Ten bez przesady wspaniały i monumentalny, a zarazem stylowy Dom Kultury, oddany do użytku w 1975 r. w 100 rocznicę urodzin Orkana i w 110 rocznicę urodzin Tetmajera, został zbudowany pod patronatem Związku Podhalań przez jeden skromny oddział tego Związku w tetmajerowskiej wiosce pod Nowym Targiem, w Ludźmierzu, co jest rzeczą bez precedensu. Z ambicji i marzeń wszystkich świadomych Podhalań, ale i niezmiernego trudu i poświęcenia jednego, ludźmierskiego ogniska Związku, a mówiąc konkretnie, jego kierownika, nauczyciela Stanisława Krupy — to nazwisko powinno tutaj zabrzmieć — powstał Dom, który jest i pozostanie na zawsze chlubą i dumą regionu podhalańskiego.

Pragnąłbym na koniec poświęcić kilka słów naszej bratniej organizacji podhalańskiej, działającej już blisko pół wieku na ziemi amerykańskiej. Mam na myśli Związek Podhalań w Północnej Ameryce, mający swoją siedzibę w Chicago i skupiający w swoich szeregach Podhalań osiadłych od dziesiątków lat w Stanach Zjednoczonych, bądź też tam już urodzonych z rodziców, którzy



Zespół „Podhalanie” Związku Podhalań w Ludźmierzu „Poroniańskie Lato 1978”. (Fot. H. Opyt)

niegdyś wyemigrowali z Podhala za ocean. Związek ten, powstały w 1928 roku z inspiracji i za przykładem naszego Związku Podhalań, pod wpływem płomiennych ideowych wskazań regionalnych Władysława Orkana, ma dzisiaj 25 oddziałów głównie w Chicago, ale i w innych stanach USA i przejawia podziwu godną działalność, mającą na celu podtrzymanie i rozwój regionalnej kultury podhalańskiej na ziemi amerykańskiej.

Członkowie tego Związku mają własne stroje góralskie, które noszą w chwilach odświętnych, poszczególne oddziały mają własne kapele, a niektóre nawet zespoły sceniczne, których przedstawienia z muzyką, tańcami, śpiewami, gawędami góralskimi cieszą się wielkim powodzeniem nie tylko wśród szerokich rzesz Polonii, ale i w społeczeństwie amerykańskim. Co trzy lata odbywają się w Domu Podhalańskim w Chicago Sejmiki Związku Podhalań P. A. — na ostatnim z nich, w 1975 r. miałem zaszczyt reprezentować nasz Związek Podhalań. Ulicami Chicago przemarszował pochód setek Podhalań z kapelą góralską na przedzie i z kolumną ponad 200 górali i góralek ubranych w swoje śliczne stroje, tak dobrze nam znane...

Co więcej, Podhalanie w USA mają swoje pismo pt. „Tatrzański Orzeł”, wydawane i redagowane przez słynną rodzinę Gromadów w Passaic, w stanie New Jersey. Kwartalnik ten, będący nieoficjalnym organem Związku Podhalań w Ameryce P., zawiera również artykuły i utwory Podhalań z Polski i dociera także do nas, witany wszędzie z radością. Oba nasze Związki Podhalań utrzymują

ze sobą stały i bliski kontakt, współpracując owocnie na wielu okolicznościach. Przejawem tego była m. in. uroczysta akademicka Orkanowska w Nowym Targu w dniu 17 sierpnia 1975 r., na której w imieniu Podhalań amerykańskich przemówił urodzony w Ameryce redaktor „Tatrzańskiego Orła”, wybitny działacz polonijny, sekretarz generalny Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, prof. dr Tadeusz Gromada. Powiedział on m. in.:

„Chciałbym podkreślić, że polsko-amerykańscy górale — Podhalanie nie przecięli i nie przetnęli korzeni, które łączą ich z rodnią ziemią ich ojców. Jestem przekonany, że gdyby Orkan dzisiaj żył, byłby szczęśliwy, że górale w Ameryce wykonują jego wskazania, że są dumni ze swojego polskiego, podhalańskiego pochodzenia.

Związek Podhalań wzbogaca życie kulturalne tak polonijne, jak i ogólnoamerykańskie swoją muzyką, swoimi tańcami i śpiewami, swoimi wydaniami itp. Ruch podhalański, którego wyrazem jest Związek Podhalań, stał się ważnym czynnikiem rozwojowym w życiu polonijnym, jednak nie zawsze należycie ocenianym i rozumianym.

Twórczy i artystyczny lud góralski dał natychmiast największym polskim pisarzom, kompozytorom jak Orkan, Tetmajer, Witkiewicz, Kasprzowicz, Szymanowski. Jest to spuścizna, która na zawsze wzbogaciła kulturę polską, która wzbogaca nadal kulturę europejską jak i amerykańską. I dziś stojąc tu na ziemi naszej wspólnej, bracia i siostry, chcę z Wami zawołać: dumą jesteś i będziesz nam na zawsze, Podhale!”



MAREK WYSZKOWSKI

Głos z Lublina

(Wypowiedź na XXXI Zjeździe Podhalań w Ludźmierzu)

Jestem Lubliniakiem, tam urodziłem się i mieszkam. Ale od czternastego roku życia wędruję po Tatrach. Tutaj staram się spędzać wolny czas, tutaj odpoczywam i ... żyję.

Jestem tą ziemią zauroczony, moje emocjonalne, serdeczne związki z Tatrami niezależne są od miejsca urodzenia. Jest nas tu z Lublina trzy osoby, troje członków Związku, ale reprezentujemy dość duże grono ludzi zainteresowanych górami i problemami tego środowiska.

Związki ziemi lubelskiej z Tatrami sięgają czasów odległych, wystarczy powołać się choćby na wybitnego botanika z XVI wieku Marcina z Urzędowa, który badał florę tatrzańską. W tym gronie nie muszę chyba przypominać Rodu Zamoyskich i roli Władysława Zamoyskiego w historii Tatr i Zakopanego. Stanisław Staszic — właściciel dóbr w Hrubieszowskiem,

Henryk Sienkiewicz, Wincenty Pol czy Andrzej Strug, to również synowie ziemi lubelskiej. Z Lubelszczyzną związany był także Konstanty Kietlicz-Rayski, malarz i etnograf, autor „Sztuki Góralskiej na Podhalu”, a współcześnie Konstanty Stecki senior, wybitny taternik Wiesław Stanisławski czy Zdzisław Piasecki. Tych ludzi, mimo że wywodzili się z Lubelszczyzny, historycznie uznano za związanych ściśle z Tatrami i góralszczyzną.

Historia uprawnia więc nas do kontynuowania tych zainteresowań i związków. Czy jesteśmy tam, jako członkowie Związku, potrzebni? Sądzę, że tak. Warto sięgnąć do Deklaracji Programowej Związku Podhalań. Z niej czerpiemy zadania dla siebie na nizinach. Choćby takie jak:

propagowanie rzetelnej wiedzy o Podhalu i jego ludziach. Niewiedza w naszym społeczeństwie o tym regionie jest zastraszająca. Kursują wyłącznie popularne stereotypy, widzi się tylko oryginalny strój góralski (kapelusz i portki), a nie człowieka. Przykładów tego można podać wiele, choćby film TV „Janosik”, spointowany celnie wierszem Wandy Czubernatowej.

Kol. Tadeusz Staich mówił o właściwie pojętej turystyce górskiej. Jak sprawa ta wygląda w rzeczywistości wiemy doskonale. Za późno jednak uczyć turystyki i generalnie stosunku do gór tutaj na miejscu. Działalność taką zaczynać trzeba wcześniej, od dziecka i to jest także nasza rola.

My tam daleko, na terenie całego kraju możemy i powinniśmy uczyć ludzi patrzeć, wyrabiać wrażliwość odbioru, uczyć widzieć piękno gór, podziwiać i szanować przyrodę tatrzańską, nabierać respektu dla realnych niebezpieczeństw.

Mamy prawo i obowiązek być propagatorami historii tego regionu, tradycji i kultury góralskiej, uczyć rozumienia sztuki i folkloru, być regionalistami Podhala w całym słowa tego znaczeniu.

Nasze głosy z całej Polski i kształtowana przez nas opinia publiczna może wpływać na właściwy rozwój tego regionu z całym złożonym problemem pasterstwa, rolnictwa, przemysłu i podhalańskiej architektury.

To tylko kilka propozycji z całego szeregu zadań możliwych i koniecznych do realizacji u nas na Lubelszczyźnie.

Czy do tego musimy być członkami Związku Podhalań? Oczywiście, że nie. Nasze zaangażowanie w sprawę Podhala nie zaczęło się od podpisania deklaracji przynależności do Związku. Nie musimy także i nie powinniśmy udawać górali. Jesteśmy, jak powiedziałem na wstępie, związani z Podhalem sercem, a nie miejscem urodzenia.

Ale przynależność do Związku Podhalań, oparcie o jego autorytet, daje nam wobec środowiska moralne prawo do takich jak wymieniałem działań. Związek Podhalań i żywy z nim kontakt, to dla nas stałe źródło wiedzy o regionie i inspiracji, a tego nic nam nie może zastąpić.

W oparciu o Deklarację Programową, umożliwiającą przynależność do związku miłośników Podhala, chcemy z tego źródła korzystać i działać na rzecz umiłowanego regionu, a przez działalność regionalną, szerzej — dla rozbudzania i rozwoju patriotyzmu.



TADEUSZ SZCZEPANEK (Zakopane)

Z PROBLEMATYKI BUDOWY SKANSENÓW NA PODHALU

Zakopiańskie Muzeum posiada w polskiej myśli muzeologicznej swoje niepodważalne miejsce i palącym stał się problem modernizacji jego działalności. Muzeum Tatrzańskie powstało w ścisłym związku z rozwojem regionalizmu i krajoznawstwa, co w dobie rozbiorów miało znaczenie wiekopomne, bowiem służyło dążeniom do jedności narodowej i państwowej.

Regionalizm podhalański wspólnie z świętokrzyskim był ideologią przygotowującą społeczeństwo polskie do niepodległości i wcielania w życie idei jedności narodowej. Przywódcy ideowi ruchu St. Witkiewicz, T. Chałubiński, Wł. Matlakowski, B. M. Dembowski, I. Baranowski, byli wprawdzie przybyszami w Zakopanem oraz inteligentami, ale na ziemi podhalańskiej stapiając się z ludnością rdzennie góralską, potrafili odkryć wartości Podhala dla polskiej kultury narodowej. To dzięki regionalizmowi podhalańskiemu kultura Podhala, bardziej niż kultura jakiegokolwiek innego regionu w kraju, włączyła się w sztukę ogólnonarodową — literaturę, plastykę, muzykę — i z drugiej strony bardziej niż kultura ludowa innych regionów uległa wpływom sztuki profesjonalnej.

Prawie od zarania regionalizmu podhalańskiego Muzeum Tatrzańskie towarzyszyło wszelkim zjawiskom kulturowym w Zakopanem i na Podhalu, będąc prekursorem badań naukowych, gromadząc rozsądnie zbiory muzealne. Tutaj należy stwierdzić, że jeżeli założenia merytorycznego rozwoju placówki zakopiańskiej zostały opracowane to „trudności finansowe Muzeum — jak pisał J. Zborowski — niezrozumienie celów muzeum i brak pomocy ze strony społeczeństwa zakopiańskiego całkowicie zajętego, zwłaszcza w okresie międzywojennym działalnością komercyjną i bogaceniem się” przeszkadzały pełnemu zrealizowaniu i ustabilizowaniu się Muzeum Tatrzańkiego, jako placówki wielokierunkowej, które choć faktycznie regionalne, potencjałem swoich zbiorów oraz programem

badawczym i oświatowym spełniać miało funkcję Muzeum centralnego dla Tatr, Podhala, Spisza, Orawy i Ziemi Pienińskiej.

Ciasnota, zjawisko absolutnego duszenia się w aktualnym gmachu Muzeum, wielotysięczne zbiory biblioteczne, archiwalne, rękopisy, sztuka, rzemiosło artystyczne, malarstwo na szkle, unikatowe zbiory przyrodnicze świetnie ilustrujące historię kształtowania się naszej wiedzy o Tatrach, zwielokrotniona konieczność intensywniejszych zakupów nowych eksponatów (zginą bezpowrotnie lub zostaną wykupione przez inne ośrodki muzealne), stworzyły sytuację alarmującą dla poważnego rozpatrzenia losów tej cennej dla historii kultury polskiej placówki.

Każde rozważanie koncepcji rozwojowej Muzeum Tatrzańkiego rozpoczynać należy od teoretycznych przemyśleń J. Zborowskiego. Ten wybitny polski muzeolog i badacz Podhala kierował zakopiańską placówką muzealną przez 43 lata i był nervus rerum wszelkich poczyną kulturalnych Zakopanego, jak wspominają jego najbliżsi przyjaciele.

Muzealny testament J. Zborowskiego wyznaczył dla przyszłości placówki zadanie budowy skansenu, kontynuowanie wydawnictw Muzeum Tatrzańkiego oraz utworzenie na kanwie faktycznego awansu naukowego placówki — instytutu karpackiego.

Krótki to testament, zwięzły ale wymagający, by poczynania muzealno-konserwatorskie między rokiem 1978 a 1988 miały znaczenie futurologiczne, nie trąciły prowincjonalizmem, funkcjonowały w kulturze polskiej nawet po roku 2000. Rozpatrzymy kolejno wspomniane tezy programowe J. Zborowskiego i skonfrontujmy z nowymi zamierzeniami rozwojowymi. Juljusz Zborowski stwierdził, że w roku 1855 przemysłowiec Adolf Scholtze i Ignacy Baranowski rzucili pomysł stworzenia Muzeum w Chałupie góralskiej. O Scholtze* stosunkowo mało wiemy, wykluczyć się nie da,

że wspomniany przemysłowiec warszawski oglądał wystawę gospodarze w Moskwie, Wiedniu, Lwowie. Wielu muzeologów wyprowadza muzealnictwo skansenowskie z odwiedzin Artura Hazeliusza (1833—1901) wystawy w Wiedniu. Historycy polskiego muzealnictwa skansenowskiego datowali polskie inicjatywy na początek XX w. Tymczasem jedna z sześciu chiłopskich chałup prezentowana w 1894 r. na Jubileuszowej Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie pochodziła z Zakopanego (odnotowana jest ona w katalogu wystawy jako „chałupa podhalańska”) i była własnością brata Jana Krzeptowskiego Sabaly — Jędrzeja Krzeptowskiego. Sprowadził, urządził ją we Lwowie podobno Władysław Matlakowski.

Patrząc z perspektywy końca XX w. na postać Włodzimierza Dzieduszyckiego (inicjatora krajowych wystaw gospodarczych i prezentacji na nich przemysłu domowego trudno ją jest nie uznać za postać pomnikową i zasłużoną dla muzealnictwa etnograficznego. Tym większa to osobliwość, że za współpracowników dobrał sobie takich ludzi jak O. Kolberg, L. Wierzbicki, J. Zachariewicz, I. Franko, Wł. Matlakowski oraz szereg innych.

Muzealnictwo polskie długo pozostało na szarym końcu w inicjatywach skansenologicznych. Różne były tego przyczyny i dość skomplikowane zespoły warunkowań kształtowały koncepcje teoretyczne w ogólnie docenianej potrzebie ochrony i konserwacji zabytkowego budownictwa wiejskiego i małomiasteczkowego. Idealny (hazeliuszowski) wzorzec funkcjonował jako określony schemat myślowy, który nie zawsze był do przyjęcia przez poszczególne regionalne zbiorowości muzeologiczne.

Jeśli skanseny mają być pogładową lekcją historii narodu odbywaną w obiektach o wartości naukowej będąc jednocześnie warsztatem pracy badaczy budownictwa i kultury ludowej, oznacza to współcześnie, że traktować je należy jako muzeum kultury ludowej, świadomie wychodząc poza pojęcie „gabloty z przedmiotami etnograficznymi”. Prawidłowa lokalizacja, wybór miejsca kształtowania przestrzennego wioski skansenowskiej, urasta do problemu naczelnego, decydującego o powodzeniu finalnym. Osobiście wyrażam pogląd, że nie jest możliwe stworzenie uniwersalnego programu ożywienia skansenów, podążając wyłącznie drogą w kierunku uczynienia z nich ośrodków rekreacji i gastronomii regionalnej.

Intensywny ruch budowlany oraz szukanie nowoczesnych dróg dla zwiększenia efektywności produkcji rolnej stworzyły obiektywne zagrożenie dla tradycyjnego budownictwa regionalnego. Usiłowano w wielu regionach kraju komponować etnograficzno-przestrzenne założenia dla budowy skansenów obszarowo wielkich. Być może, że w wysoko zurbanizowanych i przesyconych cywilizacją techniczną krajach, każdy zabytek budownictwa drewnianego potwierdza regułę „smutnej konieczności” przeniesienia go do wielohektarowego rezerwatu, stanowiącego jedyny łącznik między dawnymi a młodymi laty. Tatry, lub używając terminu J. Zborowskiego, Podtatrze: Podhale, Spisz, Orawa, Ziemia Pienińska są według mnie więcej

godnej opinii etnografów siedliskami góralskimi, gdzie odrębności grupowe utrzymują się dość wyraźnie, prawie we wszystkich dziedzinach kultury materialnej i duchowej. Współczesne Podhale Wyżnie, Podhale Niżnie, Orawę, Spisz, Ziemię Czorsztyńską i Pienińską można podzielić na wyraźne grupy, utrzymujące z trudem elementy subregionalności.

Zauważa się proces dehumanizacji zarówno w myśleniu jak i działaniu, powstaje również i na tych ziemiach stopniowe zatrąwanie naturalnego środowiska człowieka. Element zagrożenia dla szeroko pojętego Podhala, włącznie z Tatrami, powoduje wzmoczenie troski nad rekultywacją naturalnego środowiska człowieka poprzez objęcie ochroną wszystkich składników kulturowych mogących zaspokoić zainteresowania humanistyczne i rekreacyjne człowieka pędzącego „owczym” instynktem do Zakopanego i w Tatry.

Zagadnienia ochrony krajobrazu kulturowego, historycznego jak i współczesnego wymaga działań interdyscyplinarnych. Element zagrożenia polskiego krajobrazu kulturowego interesuje zarówno ludzi zajmujących się zagospodarowaniem przestrzennym kraju, ekonomistów, jak i zespoły specjalistyczne zajmujące się formułowaniem programów rozwoju gospodarczych mikro- i makroregionów. Planowanie tzw. stref zatrzymujących ludzi „pędzących” do Zakopanego i w Tatry ma znaczenie węzłowe dla uratowania naturalnego środowiska człowieka.

We współczesnym muzealnictwie coraz częściej operujemy pojęciem ochrony zabytkowej struktury przestrzennej. Tłumacząc to na język świadomej działalności muzeologiczno-konserwatorskiej przenoszenie zabytku do gabloty muzealnej, do magazynu, uważamy również za ostateczność. Wizja przestrzenna współczesnych osad wiejskich powinna idealnie połączyć architekturę nowoczesną z tym co jest prezentacją historycznego i współczesnego polskiego krajobrazu kulturowego.

Z powyższych przesłanek formujemy obecny program rozwoju Muzeum Tatrzańskiego, traktując go futurologicznie jako muzeum przestrzenne ingerujące muzeologicznie i konserwatorsko w tworzeniu współczesnej wizji Zakopanego i szeroko pojętego Podhala. Zborowski marzył o powstaniu Podhalańskiego Parku Etnograficznego. W rozumieniu współczesnym — jak domniemam — rozumiałaby go jako sieć małych skansenów, odpowiadających poszczególnym subregionom. Zrealizowane logicznie, precyzyjne, w miarę specjalistycznie dałyby pełny obraz kultury ludowej tej części polskich Karpat.

Przed ostatecznym sformułowaniem szczegółowego rozwoju zakopiańskiej placówki muzealnej — rozpatrzmy, choć pobieżnie ten problem z punktu widzenia Zakopanego i Skalnego Podhala. W interesującej nas zabytkowej strukturze przestrzennej: od Chochołowa, poprzez Kościelisko—Witów, ulicę Kościeliską w Zakopanem do najprzedniejszych i szczytowych osiągnięć architektury „witkiewcowskiej”. Unikalna i absolutnie musząca podlegać rewolucyjnej wieś Chochołów, w miarę powodzenia tworzącego się aktualnie planu uporządkowania, godzącego zachowanie funkcji zabytkowej ze współczesnością rolniczą, tworzyłaby skansen „żywy”, w którym bytowanie ludności miałoby charakter pod znamionami czasu współczesnego. Jest to problem nie tyle „zakazów” konserwatorskich, ile uporządkowania problemów rolniczych i turystycznych. Na przedłużeniu od Chochołowa w kierunku Witowa, Kościelisk, w części Polany Białej Potok istnieją obiektywne warunki dla ukształtowania Tatrzańskiego Parku Etnograficznego, specjalistycznego, bo poświęconego gospodarce pasterskiej. Kultura pasterska i związana z nią architektura giną i to bezpowrotnie. W najbliższym otoczeniu Polany Białej Potok istnieją jeszcze uprawiane jeszcze pastersko polany, tuż na obrzeżu Tatrzańskiego Parku Narodowego. Realistycznie pojmując kształtowanie skansenu pasterskiego i utworzenie z istniejących jeszcze relikwicznych elementów pasterstwa, należałoby utworzyć silne wspólnoty rolnicze, dopomóc ze środków konserwatorskich remontom szalaszów, a na części Polany Białej Potok zrealizować odpowiednio naukowo przemyślane elementy letniej wioski pasterskiej. Skansen tak komponowany stanowi ekspozycję muzealną, opartą



Lopuzna — Dworek Leona Tetmajera.
(Fot. Tad. Staich)

o krajobrazowo-przyrodniczą oprawę plastyczną, a zapewnienie „przepasek”, tworzy z tej kompozycji muzealnej żywy element gospodarczy, ilustrujący podstawową historię osadniczą polskich Karpat.

Przedłużeniem problemów form architektonicznych drewnianej architektury tatrzańskiej będzie prawie w 80% zachowana „in situ” zagroda sołtysa podhalańskiego będąca w przeszłości własnością Jana Krzeptowskiego Sabały. Podobnie należy postąpić z pewnymi obiektami zakopiańskiej architektury drewnianej wzdłuż ulicy Kościeliskiej. Cały zespół wymaga rozsądnego planu rewaloryzacyjnego, opracowanego gruntownie, z pełną znajomością tematu, ponieważ jest to zakopiańska „Starówka”. Dom, w którym mieszkał i tworzył Karol Kłosowski, willa „Cicha” jest już wartościowym muzeum biograficznym, o wyjątkowych wartościach kulturowych, gdzie jakakolwiek ingerencja muzeologa byłaby niepotrzebna, graniczyłaby z prymitywnie pojętym muzealnictwem. Willa „Cicha” wymaga natychmiastowej interwencji budowlano-konserwatorskiej. W tym samym ciągu ulicy Kościeliskiej ocalał i istnieje nieprawidłowo użytkowany pierwszy budynek projektu Witkiewicza. W całej strukturze przestrzennej Zakopanego, mimo tego, co już współcześni nazwali „potworkami”, mamy szereg cennych arcydzieł polskiej architektury drewnianej, będących określonym echem europejskich trendów twórczych.

Nazywamy się wprowadzić Muzeum Tatrzańskim imienia Tytusa Chałubińskiego, z inicjatywy jego oraz kregu przyjaciół założono tą najstarszą regionalną placówkę, ale przyszłość jej zależy od rozwoju przestrzennego. Trzeba umieć skorzystać z szansy jaka stoi obecnie przed muzeami plenerowymi. Stosunkowo mało znany jest fakt, że wystawy stałe Muzeum Tatrzańskie (poza nielicznymi korektami) są najstarszymi ekspozycjami w muzealnictwie polskim. Szczególnie wystawa etnograficzna jest już na pewno historią. Czy ją należy zmieniać. Moim zdaniem robić tego nie wolno, ponieważ jest to już muzeum w muzeum. Unowocześnić jednak się trzeba i dlatego stary gmach przy Krupówkach 10, projektu Witkiewicza należałoby zachować jako fragment historii polskiego muzealnictwa przyrodniczo-etnograficznego, jako dokument czasu, a szukać rozwiązania w pozyskaniu miejsc ekspozycyjnych w zabytkowych strukturach przestrzennych Zakopanego.

Precedensy już istnieją: zbiory ludoznawcze im. S. Szymańskich w chałupie góralskiej „Tea”, oddział Kornela Makuszyńskiego, kilka izb twórczych Stowarzyszenia Twórców Ludowych, trwają prace przygotowawcze do budowy Parku Etnograficznego w Łopusznej, tuż koło dworu Tetmajerów. Czekają w magazynach Muzeum na swoją specjalistyczną galerię obrazy malarstwa na szkle, poszerza się zbiór sztuki z epoki „Młodej Polski”, zakopionego karykatury Kazimierza Sichulskiego, istnieje społeczne zapotrzebowanie na ekspozycję postępowych i rewolucyjnych ruchów chłopskich na Podhalu (wymarzona dla tej ekspozycji byłaby chałupa góralska Borysa Wigilewa, przyjaciela Lenina, pierwszego Pości Republiki Bałtyckiej w Warszawie, stojąca do dziś przy ulicy Sienkiewicza). Oddział historii turystyki i sportów narciarskich zlokalizowany w okolicach zespołu skoczni narciarskich ... Tych wyliczeń specjalistycznych zespołów muzealnych można by było mnożyć. Niestety kryją je magazyny.

Marzeniem J. Zborowskiego było przemianowanie Muzeum w drodze awansu naukowego placówki w instytut naukowy o znaczeniu karpackim. Próbuje się rozszerzyć koncepcję Muzeum poza dzisiejszy gmach przy Krupówkach 10, dążąc do świadomego ukształtowania się z własnymi placówkami w tej części Karpat, w których Muzeum Tatrzańskie prowadzi swoją działalność. Awans naukowy placówki nie dokonuje się drogą ukazów administracyjnych, ale rzeczywistym intelektualnym dorobkiem.

Szczególne walory krajoznawcze, przyrodnicze, architektoniczne, sąsiedztwo Tatrzańskie Parku Narodowego, nasilenie się niebezpieczeństwa zagrażającego środowisku naturalnemu człowiekowi, niosącego też w skutkach zagrożenia zmiany krajobrazu historyczno-kulturowego, nakazują ostrożność w budowaniu programu rozwoju. Zadanie świadomego kształtowania

współczesnego krajobrazu stało się terenem spotkań starych i nowych dyscyplin nauki w procesie powstawania planów przestrzennych oraz nowych dyscyplin nauki w procesie powstawania planów przestrzennych mikro — i makroregionów, a współczesny urbanista, jeżeli wnikliwie rozważy pojęcie sfery kulturowej, musi za decydujące o humanistycznej wartości współczesnego krajobrazu uznać pomniki naszej kultury. Tym samym uznaje w procesie kształtowania współczesnego krajobrazu partnerstwo instytucji sprawujących opiekę nad prywatnymi i państwowymi kolekcjami sztuki gromadzonymi w muzeach, galeriach i skansenach.

Muzeum Tatrzańskie u początku roku 2000 powinno mieć charakter muzeum przestrzennego, działającego muzeologicznie i konserwatorsko we wszystkich pracach rewaloryzacyjnych na rzecz zabytkowych struktur przestrzennych, stąd też nie zakładanie rozbudowy dzisiejszego budynku Muzeum Tatrzańskie ani budowy nowego, a koncentrowanie się na kształtowaniu sieci małych skansenów na całym terenie statutowej działalności oraz ochronie pojedynczych arcydzieł architektury, w których pomieścilibyśmy ekspozycje.

Ta podstawa teza programowa jest zgodna z wytycznymi Instytutu Kształtowania Środowiska Oddział w Krakowie, wydanymi na okoliczność budowy Ogólnopodhalańskiego Parku Etnograficznego, który zaleca opracowanie studium Podhala w aspekcie zachowania obiektów etnograficzno-architektonicznych, w celu stworzenia systemu małych parków etnograficznych o ściśle określonym profilu oraz zachowanie zabytkowych pojedynczych obiektów, jak i struktur architektoniczno-historycznych.

WIEŚ ZABYTKOWA CHOCHOŁÓW: prezentacja góralskiej kultury materialnej i duchowej wraz z ogólnopodhalańskim zespołem przemysłu wiejskiego i rzemiosła.

POLANA PASTERSKA TATR POLSKICH: Biały Potok w Witowie; istniejące gospodarstwo pasterskie, skansenologiczny (stylistyczny) układ typów budownictwa pasterskiego, historia i ekspozycja pasterstwa tatrzańskiego.

ZAGRODA JANA KRZĘPTOWSKIEGO SABAŁY, Zakopane, „Na Krzeptówce”: ekspozycja etnograficzna, Pracownia Dokumentacji Folkloru (gwara, literatura, muzyka, taniec, strój), Pracownia Dokumentacji Historii Rodów Góralskich.

ULICA KOŚCIELISKA W ZAKOPANEM: Zespół Architektury i Budownictwa XIX i XX w.

WITKIEWICZOWSKA WILLA „POD JEDLAMI”: Muzeum Rodziny Pawlikowskich. Współpraca muzeum państwowego z kolekcją prywatną na zasadzie odrębnej umowy prawnej.

MUZEUM ORAWSKI PARK ETNOGRAFICZNY w Zubrzyca Górnej.

SKANSEN ZWIĄZKU PODHALAN BUDOWNICTWA LUDOWEGO KOTLINY NOWOTARSKIEJ w Ludźmierzu.

SKANSEN-SPISKI PARK ETNOGRAFICZNY w Niedzicy. Budownictwo ludowe wsi Niedzica, Łapsz Niżnich, Łapsz Wyżnich, Łapszanki.

WIEŚ ZABYTKOWA KACWIN: Ochrona i rewaloryzacja niektórych fragmentów tej wsi.

PASTERSKA WIEŚ LETNIA W JURGOWIE: Jurgów, Polana Podokólne

DWÓR TETMAJERÓW W ŁOPUSZNEJ I PARK ETNOGRAFICZNY: ze wsi i terenów przyszłego Jeziora Czorsztyńskiego.

PRZYTUŁEK KAMIENNEJ RZEŻBY CMENTARNEJ I PRZYRODNICZEJ w Czarnym Dunajcu

GALERIA KOBIERCÓW WSCHODNICH IM. WŁODZIMIERZA I JERZEGO KULCZYKICH w Zakopanem.

Taki kształt elastycznej struktury placówek muzealnych przyniosłby ok. roku 2000 syntetyczny obraz kultury góralskiej — będący trwałym elementem współczesnego krajobrazu architektonicznego.

DEBNO CUDEM SŁYNAĆE



Dębno. Ornat z kościoła w Dębnie.
(Fot. Tad. Staich)

Cud to potrójny. Po pierwsze — drewniane arcydzieło stoi i zachwyca świat od około 1470—1480 roku, a więc od pięciuset lat... Należy powtórzyć: drewniany kościółek w Dębnie stoi pięćset lat. Uprzymiśnijmy sobie, że ogień nie przebiera w drewnianych obiektach; trawi i w popiół zamienia świątynie, dwory i inne podobne budowle.

Po drugie — olbrzymia większość wyposażenia ruchomego kościoła wraz z całą polichromią nie uległa żadnym zmianom, jest autentyczna, pozostaje w tym wnętrzu od pięciuset lat. Tego rodzaju fakt jest ewenementem w skali światowej.

Po trzecie — wartości artystyczne i historyczne całego wnętrza dębnińskiego są klasy najwyższej. Do najwyższej też klasy, zerowej, zaliczyła kościółek UNESCO (Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Oświaty, Nauki i Kultury w Paryżu, część składowa ONZ) obok 64 innych najwyższych rangą obiektów zabytkowych w Polsce.

Nie dziwny się zatem, że Dębno odwiedza każdego roku kilka tysięcy gości z całego świata i kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Razem z nimi wejźmy na dłuższą chwilę do wnętrza, by nasycić się kształtem piękna.

Wnętrze jest kolorystycznie ciepłe, nawet gorące. Tworzy je cała wielka paleta barw: polichromii, ołtarzy, rzeźb i obrazów. Z początku oczy ślizgają się po całości wyposażenia. Pierwszą reakcją i pierwsze wrażenie trzeba teraz nieco stłumić, uporządkować; zacznijmy poznawać najpierw polichromię. Ściany mają barwę zieloną, niebieską, czerwoną glinę lub ochrę, biel i czerń. Całe malowidło stanowi w swojej klasie i w swoim typie jedyne w Europie — prawdopodobnie również w świecie — dzieło z przełomu XV i XVI stulecia w sakralnym obiekcie drewnianym, zachowane w całości i stosunkowo dobrym stanie. Jest ono najstarszą całościową dekoracją malarską w kościelnym budownictwie drewnianym. Na ścianach widnie-

je 77 motywów malarskich, których tematykę objęć można następującymi działami: człowiek, motyw zwierzęcy, motyw roślinny, architektoniczny, heraldyczny, geometryczny, a także motywy typowe dla tkanin z XV stulecia. Wytlumaczenia wymaga słowo „heraldyczny”. O motywie lub układzie heraldycznym mówimy wtedy, gdy mamy do czynienia z układem symetrycznym do osi, a więc jeśli jedna część kompozycji jest odbiciem części drugiej, leżącej po drugiej stronie osi.

Zwraca uwagę świetna paleta kolorów, jak już wyżej wspomnieliśmy. Kolor żółty i czerwony a także błękit, zieleń i czerń występują w 31 wariantach. Są to barwniki ołowiowe, miedziowe, żelazowe, kazeinowe (w spoiwie), oraz węglan wapnia. Malowidło wykonano za pomocą skórzanych patronów.

Któż był autorem tego „dywanu”? Artystów tego okresu cechuje wielka skromność, malarstwo ich zatem jest sztuką anonimową. Liczy się tylko krąg, szkoła, w której dzieło powstało. W przypadku polichromii dębnińskiej kręgu tego możemy się tylko domyślać. Malowidło przypomina technikę drzeworytnicza, wiąże się z kręgiem sztuki austriacko-alpejskiej, a także z czternastowiecznymi malowidłami stropu pałacu Claramonte w Palermo na Sycylii. Fragmenty podobnego malarstwa występują w niektórych drewnianych kościołach Małopolski i Śląska, a także po drugiej stronie Tatr na terenie Słowacji. Co więcej, zestawienie i wyczucie kolorystyczne, typowe dla podhalańskiej sztuki ludowej, znajduje swój odpowiednik w góralskiej ciesiołce całej budowli. To świetne powiązanie sztuki światowej z góralszczyzną każe nam przypuszczać, że mistrzowie ci, a przynajmniej ich część, byli góralsami.

Wspaniałym, unikalnym zabytkiem jest krzyż w tarczy kościelnej o około 100 lat starszy od samego kościoła, pochodzący zatem z około 1380 roku. Wspomnieliśmy o nim w innym artykule niniejszej „Podhalańki”, wspomnieliśmy również ogólnie o innych rzeźbach, mianowicie o zespole rzeźbiarskim „Pięciu Świętych Dam” i posagu św. Mikołaja. Rzeźby te pochodzą z początku XV stulecia. Zaciekawia nas ogromnie drewniane pudło mieszczące rzeźbę św. Mikołaja. Jedną z jego desek wykazuje ślady malowidła. Istnieje możliwość, że sprawa łączy się z rewelacyjnym znaleziskiem, jakiego w jesieni 1949 roku dokonali prof. prof. Dobrowolski i Dutkiewicz. Przypadkowo znaleźli oni w dębnińskim kościele najstarszy w Polsce obraz z około 1300 roku. Malowidło poddano precyzyjnej konserwacji, eksponowano je następnie w Muzeum Narodowym i odpowiednio zabezpieczone złożono w skarbcu katedry wawelskiej.

Wyjątkowo piękny jest tryptyk w głównym ołtarzu pochodzący z początku XVI wieku, tworzący zatem harmonijną, historyczną całość z budowlą. Czołowy to zabytek grupy obrazów z tego okresu; treściowo przedstawia on motyw „Świętej Rozmowy”, popularny w sztuce średniowiecza. W obrazie wyraźnie widać cechy malarstwa stanowiącego przejście od gotyku do renesansu. Postać ludzka nie jest już symbolem określonej treści, lecz zyskuje wiele cech indywidualnych. Twarze nabierają „cielesności”, ostrość rysunku i monotonia koloru przechodzą w płynną linię i umiejętnie stosowane światłocienie. Konwencyjne i schematyczne gotyckie szaty znikają. Pojawiają się stroje współczesne, nieraz wyszukane i modne na przełomie XV i XVI wieku. Ale jest też jeszcze pozostałość średniowiecza: mistyczna treść, pozarealne tło (np. brak krajobrazu), nienaturalna postawa postaci. Mistrzostwo tej sztuki malarskiej dostrzegamy w skupionych twarzach, silnie wyrażających wew-



Dębno, kościół XV w. Krzyż w tęczy (ok. 1380 r.).

(Fot. W. Daszkiewicz)

nętrznym stan i przeżycia osób. Podobnie, jak w przypadku polichromii, nie znamy nazwiska autora dzieła.

Do unikalnych, europejskich zabytków należy stonkowo dobrze zachowane drewniane gotyckie tabernakulum oraz gotycka drewniana nakrywa chrzcielnicy. Autor polichromii pokrył te przedmioty, a także ambonę, ławkę gotycką pod amboną i ławkę kolatorską, odpowiednimi malowidłami.

W światowych muzeach tego rodzaju nieliczne przedmioty przechowuje się w specjalnych gablotach. Może się zrodzić pytanie, czy przedmioty te powinny pozostać w Dębnie? Niewątpliwie tak. Są bowiem integralną częścią kościoła, pozostały na miejscu swojego przeznaczenia historycznie i artystycznie, są żywym dowodem świetności Dębna, dopełniając najcenniejszej muzealnej treści świątyni.

Oczywiście przeszliśmy myślą przez wnętrza kościoła tylko w najbardziej pobieżny sposób. Wiele innych cennych ruchomości i części wyposażenia należy kontemplować na miejscu, o wielu innych problemach związanych z kościołem pożytecznie można myśleć w czasie jego zwiedzania.

Raz jeszcze należy powtórzyć, że wszystkie dzieła sztuki pozostające w kościele związały się w ciągu wieków w organiczną całość, tak jak cała świątynia związała się w ciągu pięciuset lat z miejscem, na którym stoi, i z krajobrazem, w którym ją zbudowano.

Górska ciesielka budowli oraz cały wystrój wnętrza są symbolem sztuki z pogranicza ludowości i najwyższej ukształtowanej kultury artystycznej w Polsce. Fakt ten jest dowodem talentu polskiego chłopca, który zrozumiał, wchłonął i twórczo przekształcił wielkie style historyczne. Kościół w Dębnie pozostaje pod pieczołowitą opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki, sprawowaną przez Urząd Konserwatorski i najwybitniejszych konserwatorów polskich.

Przede wszystkim jednak my wszyscy, Podhalanie i mieszkańcy Podhala, sprawujemy nad obiektem stałą opiekę, rozumiejąc jego bezcenną wartość dla kultury polskiej i światowej. Pięćsetną rocznicę jego powstania uczcijmy częstszymi odwiedzinami wspaniałego wnętrza dębniańskiego. Niech refleksja, która zrodzi się wówczas w naszych umysłach, pozwoli nam lepiej zrozumieć największe wartości talentów człowieka, jakie możemy tak często oglądać na obszarze naszej górskiej ziemi.

MICHAŁ SŁOWIK-DZWON

DREWNIANY KOŚCIÓŁEK

..... gdzie?

On cheba z bliźniąt?
brata ostawił w Dębnie, równin poniewierce,
Zeby se patrzył na Koron zęby i Tater skaliny
A on se wysed wyzyj, pod lesiste Gorce
I patrzy se jak graf, na cudne Pieniny

Zakła sie rozsiód, popatrzył na wkoło Groniki
Ześli sie ludzie, radzili i penetrówali
A hyr se wiedli górni z Lubania zbójniki
Bo dukotami z kotlików go ufundowali.

Niech bedzie za wsią, na wieršku, jak kaśtel w Niedzicy
Abo wyżniejszy, jak zomek ciorztyński
Tak uchwolili wybrańcy, gazdowie, zbójnicy,
A przykiwoł głową ich harnaś Bacyński.
..... i zewlekl ze się sukmany, kabaty
a fryśno sie wzięli wsyćka do roboty
Skalice Trzech Korun, bokiem se zyrkały
— ty, ty, ty, cozto hań, barz sie cudowały —

Nacięli drzewa, oskoblili, a przy tym sie końdek
powadzili
bo jeden chciol ścinać na nowie, a drugi na wietku
zeby było letkie.

Założyli pecki, zrąb ocapili, bonty, krokwie gontami
pokryli

Ino w nukach malować to juz nie umieli
Moze to uzdajają jak w Dębnie niebieskie janieli?
Abo jacy študery ze świata
i wycyfrują, jak tamtego brata.

— — — — Jeno gorzej skąd weznemy księdza? W gó-
rach jest choć jak,
a casami nędza. Nie przyjdzie — i wsyćka sie gryza
Harnaś zaś, to sie ten nie turbuje.
— Chlapcy! Hipnemy za bucki, w lewockie, sądeckie,
tam go zazbójują i przywiedę go z tamtela
do naskiego kaśtela.

..... w Grywałdzie!



Grywałd, kościół drewniany (XV—XVI w.).
(Fot. Tad. Staich)

Pożegnanie ANTONIEGO DUSZY

W dniu 16. 02. 1978 r. zmarł w Londynie prezes Związku Podhalan w Wielkiej Brytanii, pułkownik Wojska Polskiego Antoni Władysław Dusza. Zwłoki śp. Zmarłego zostały przewiezione do Polski, a pogrzeb odbył się w jego rodzinnej miejscowości, Odrowążu, w dniu 4. 03. 1978 r.

W uroczystości pogrzebowej wzięli udział członkowie najbliższej rodziny Zmarłego — brat Franciszek, siostra Aniela, mieszkańcy Odrowąża, krewni ze strony żony, przyjaciele i znajomi. W gronie osób uczestniczących w pogrzebie znaleźli się m. in. ks. Franciszek Stopka, mgr Andrzej Obrochta, mgr Józef Stoch, doc. dr Jacek Żelkowski, płk Eugeniusz Borowski, sierżant z I Brygady Karpackiej — uczestnik walk pod Tobrukiem i Monte Cassino — Bolesław Gęsikowski; z ramienia Związku Podhalan w strojach regionalnych prezes ZG Związku Podhalan w Polsce mgr Jerzy Ustupski oraz wiceprezes Stanisław Krupa z Małżonkami, delegacja Oddziału Związku Podhalan w Czarnym Dunajcu z prezesem Janem Smółką i wielu innych.

Mszę św. żalobną w miejscowym kościele odprawił proboszcz ks. kan. Józef Dąbrowski. W czasie mszy św. Łasiowie z Czarnego Dunajca, Antoni, Stanisław i Andrzej zagrali melodię góralską — „Smutny zbójnik smutny” oraz „Czerwone maki na Monte Cassino”. W kondukcje żalobnym i na cmentarzu żegnała Zmarłego muzyka góralska Związku Podhalan z Czarnego Dunajca.

Nad trumną śp. płk Antoniego Duszy przemówił ks. kan. Józef Dąbrowski, przedstawiając w sposób ogromnie serdeczny sylwetkę Zmarłego, jego życie i poświęcenie dla Ojczyzny, potwierdzone w bojach II wojny światowej.

W imieniu Podhalan pożegnał Zmarłego v. prezes ZG Związku Podhalan Stanisław Krupa.

Antoni Dusza urodził się w Odrowążu 22. 12. 1907 r. Droga życiowa Zmarłego przypadła na trudne lata. Dzieciństwo i szkoła powszechna w Odrowążu, gimnazjum w Nowym Targu i Wadowicach, szkoła oficerska, a następnie kariera oficera zawodowego w I Pułku Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu i 75 Pułku Piechoty w Katowicach — lata wojny z udziałem w kampanii wrześniowej 1939 w walkach od Śląska po Tomaszów Lubelski, a potem na Zachodzie w walkach o wyzwolenie Ojczyzny spod jarzma okupacji. Zmarły otrzymał wiele znakomych odznaczeń bojowych z walk Wojska Polskiego w Północnej Afryce — pod Tobrukiem (Krzyż Virtuti Militari kl. V) i we Włoszech w 2 Korpusie Polskim — pod Monte Cassino (Krzyż Virtuti Militari kl. IV, 4 Krzyże Walecznych i in.).

W książce zatytułowanej „Wojna, ludzie i medycyna” — Wyd. Lubelskie, Lublin 1969 r. Adam Majewski pisze na str. 291 w rozdziale XXV zatytułowanym „W 3 Batalionie Strzelców Karpackich”: „Kapitan Dusza pochodził gdzieś z okolic Nowego Sącza. ... W Libii był dowódcą 4 kompanii tzw. szturmowej, 3 batalionu. Odznaczył się nadzwyczajną odwagą. Obecnie stał się prawą ręką dowódcy. Był bardzo bezpośredni, obowiązkowy, koleżeński i ludzki”. — a dalej na str. 297: ... „Brytyjczycy zwykle po ukończeniu ofensywy urządzali kursy dla dowódców kompanii. Słuchaczami byli oficerowie różnych jednostek alianckich. Wykładowcami zaś wyżsi oficerowie, ale zawsze liniowi i tacy, którzy dowodzili na froncie w czasie tej wojny. W czasie wykładu o natarciu piechoty, pułkownik nowozelandzki jako przykładu użył bitwy pod Gazalą. Pokazał sytuację na mapie plastycznej, niemiecko-włoską linię oporu i bezskuteczne próby jej sforsowania. Był w czasie bitwy w sztabie. Obserwowali ze schronów na wzgórzu rozwijającą się akcję.



Pogrzeb śp. płk. Antoniego Duszy w Odrowążu.

(Fot. O. Krupowa)

Próbowano ataku z różnych stron, wreszcie powierzono polskiej brygadzie zadanie uderzenia w pewnym punkcie. Oficerowie aliancy widzieli z daleka jak ruszyło natarcie. W pierwszej linii szła tyraliera w sile około jednej kompanii. Wyglądali z daleka jak czarne punkciki. Gdy doszli do krytycznego miejsca Niemcy położyli ogień zaporowy. Pociski zaczęły padać w pasie szerokości około 300 metrów przed nacierającą tyralierą. Sztabowcy patrzyli przez szkła na zapórę ogniową, która wyglądała jak jedno kłębowisko piachu wznoszącego się w górę na kilkanaście metrów.

Polska tyraliera zniknęła w nim. Któryś z pułkowników powiedział:

— Szkoda, wszyscy zginęli.

Zapora była położona tuż przed łańcuchem bunkrów nieprzyjacielskich. Zaraz za bunkrami były stanowiska artylerii niemieckiej, strzelającej na inny sektor.

Nie upłynęło dwadzieścia minut, gdy nagle ogień zaporowy niemiecki ustał. W szańcu alianckim nie wiadano co się stało. Okazało się, że Polacy przeszli przez ogień zaporowy, opanowali bunkry i są już przy stanowiskach artylerii.

Pułkownik nowozelandzki, kończąc swój wykład, powiedział:

Proszę panów, jestem starym oficerem, całe życie wierzyłem, że najlepszą piechotą na świecie są Nowo-

zelandczycy, od tego dnia jednak wiem, że najlepszą piechotą jest piechota polska.

Należy dodać, że tą tyralierą pod Gazalą była 4 kompania 3 batalionu Strzelców Karpackich. Tyralierą dowodził i szedł na kilkadziesiąt kroków przed nią porucznik Antoni Dusza” ...

Po zakończeniu działań wojennych Antoni Dusza osiadł na stałe w Anglii, ale myślami zawsze był w Ojczyźnie — Polsce i najbliższej jego sercu rodzinnej wsi; tej, z której wyszli kiedyś zasłużeni przywódcy regionalnego ruchu podhalańskiego: Jakub i Antoni Zachemscy, Feliks Gwiżdż, Michał Dusza; z której wywodzi się także legendarna nieomal postać, Wojciech Bolesław Dusza, ps. „Szarota”, nieustraszony partyzant z czasów okupacji.

Pomny na wskazania Orkana śp. Antoni Dusza nie zerwał nigdy więzów łączących go z rodzinną ziemią. Był inicjatorem i współzałożycielem Związku Podhalań w Wielkiej Brytanii i do ostatnich chwil swego życia pełnił funkcję prezesa tego Związku. Odwiedzał swoją rodzinę i zamierzał na stałe wrócić do Odrowąża. Zmarł w pełni aktywnego swego życia, by powrócić zgodnie z ostatnią swoją wolą do rodzinnej ziemi.

Zmarły pozostawił dla nas Podhalań przykład swego życia — męskiej i ofiarnej służby dla Ojczyzny oraz otwartego góralskiego serca i pracy dla Podhala.

FRANCISZEK ZIEJKA (Kraków)

ORKANOWE PRZYJAŹNIE LITERACKIE

(Część I)



Istniał kiedyś w polskim życiu literackim piękny zwyczaj, dzisiaj już całkowicie zapomniany, obejmowania przez doświadczonego, cieszącego się społecznym uznaniem, pisarza patronatu nad młodym adeptem literatury. Tak w roku 1888 sędziwy Teodor Tomasz Jeż wprowadzał do środowiska pisarskiego młodego Jana Kasprowicza, tak w dziesięć lat później K. Tetmajer „odkrywał” przed czytelnikami talent Władysława Orkana. Wiecznie młody weteran powstań narodowych polskich, autor „Uskoków”, po ojcowsku zapowiadał narodziny nowego poety; dowodził zatem, iż mowa polska w wierszach Kasprowicza ma w sobie „coś surowego, twardego, szarpającego, targającego, rzekłbym dzikiego i mimo to, raczej dlatego właśnie wywierającego urok dziwnie pociągający”. Zapowiadał Jeż przyszłą sławę poety, jego dzieło posiada bowiem siłę poezji prawdziwej: „Ja się o losy jego nie trwożę; przebieje się ono, chociażby je na wstępie miny jakie spotkać miały z powodu, że nie w haftowanym i prasowanym przedstawia się stroju — rodzic zaopatrzył je w siłę, która mu na przebój starczy”. K. Tetmajer wita młodego pisarza bez wielkiego entuzjazmu, z pewną jednak dozą sympatii: „Przywiozłem do Warszawy prace literackie p. Władysława Orkana (pseudonim), a los ich interesuje mnie z dwóch powodów: ponieważ wydaje mi się, że p. Orkan ma duży talent i ponieważ urodził się niedaleko moich stron rodzinnych, a to zawsze wiąże...

Pragnąłbym mu ułatwić wejście na rynek literacki warszawski, po prostu zapoznać go z piszącymi i z publicznością”. Upatruje Tetmajer w Orkanie pioniera przyszłej „szkoły podhalańskiej”: „kto wie, czy z czasem wykształceni chłopcy góralscy nie wytworzą takiej swojej odrębnej i samostnej szkoły, jaką niegdyś wytworzyła szlachta ukraińska; szkoła ta ma wszelkie warunki powstania w niedalekiej przyszłości, a miałyby tę wyższość nad ukraińską, że nie ograniczałaby się wyłącznie do literatury”²⁾. Istotnie w latach najbliższych na horyzoncie sztuki polskiej pojawiło się sporo nazwisk „Podhalań”. Byli wśród nich literaci: Józef Jedlicz, Andrzej Galica, Feliks Gwiżdż, Zygmunt Lubertowicz czy Teofil Lenart, byli artyści jak: Wojciech Brzega — rzeźbiarz i Jan Bulos — malarz, ale trudno byłoby mówić o pojawieniu się odrębnej „szkoły”. Podhale weszło do kultury młodopolskiej raczej poprzez ruch artystyczny związany z Zakopanem. Zostawmy jednak te sprawy na boku. Trzeba stwierdzić jedno: oto zarówno T. T. Jeż, jak K. P. Tetmajer mieli szczęśliwą rękę. Ich protegowani zapisali się trwałymi zgłoskami na kartach literatury pięknej. Zapisali się w pamięci kilku pokoleń czytelników sięgających wciąż po ich książki.

W artykule tym nie zamierzam jednak raz jeszcze rozpatrywać wartości dzieł literackich Orkana. Chciałbym natomiast przyjrzeć się samemu pisarzowi, a właściwie — jego licznym literackim przyjaźniom. Opu-

blikowana przed blisko dwudziestu laty piękna książka Stanisława Pigonia dała nam możliwie całościowy obraz Orkana — twórcy. Ostatnia obszerna praca Józefa Dużyka po raz pierwszy ukazała nam obraz Orkana — człowieka. Lektura obu tych książek wzbudza uznanie i podziw, choć biorą się one z różnych źródeł. U Pigonia jak zwykle zachwyca precyzja analizy historyczno-literackiej, wsparta na mocnych przesłankach rzetelna wiedza o warsztacie twórczym Orkana. Dużyk imponuje bogactwem wykorzystanych w pracy materiałów biograficznych. Zgromadził je był w lwiej części przed laty sam pisarz. Autor sylwetki autora „Roztoków” poszedł jednak dalej, skrzętnie odnotowując liczne źródła, z których ożywa postać twórcy. W artykule tym pragnę zająć się jeszcze innym aspektem „Orkanowej kwestii”. Oto w zbiorach rodzinnych pisarza, przekazanych przed laty Bibliotece Jagiellońskiej, znajduje się wielotomowa korespondencja pisarza. Chodziło mi o choćby częściowe odkrycie tajników tych pełnych wciąż jeszcze niespodzianek i zagadek zbiorów. W oparciu o lekturę kilkuset listów do pisarza postanowiłem skreślić dzieje kilku przyjaciół autora „Komorników”. Nie chodzi tu zatem o charakterystykę Orkanowej korespondencji, ale o ukryte w owych setkach listów, adresowanych najczęściej do Poręby Wielkiej, pogłosy związków twórcy „Skapanego świata” ze współtowarzyszami literackiej doli-niedoli, związków rozmaitych, bo rozmaita jest ludzka przyjaźń.

* * *

Kilkadziesiąt zachowanych listów Kazimierza Tetmajera do Władysława Orkana to znamienne świadectwo związków łączących dwu „synów Podhalu”, ale zarazem i znamiennej kolei głosnej na kartach historii literatury przyjaciół „mistrza” i „uczni”. Pierwsze zachowane listy Tetmajera do Orkana pochodzą z 1897 roku. Widać w nich wyraźnie dbałość popularnego poety o start poetycki Orkana. Oto w dniu 30 lipca 1897 r. pisze Tetmajer:

„Pracę Pańską oddałem do Przeglądu Tygodniowego, wiersze zaś do Tygodnika, skąd mi pisał Gawałowicz, że je będzie drukował niebawem. Mówiłem także o Panu z redakcją Głosu i co nie wejdzie do Przeglądu, to tam się prawdopodobnie da umieścić”).

W pół roku później nowa notatka:

„Bardzo ładny wiersz w „Życiu”, bardzo winszuję. Czy pisałem Panu, iż z Tygodnika mi odpowiedzieli, że nie mogą „w zimie drukować wiosennych poezji” (25. I. 1898).

W trzy dni po tym liście śle autor „Na skalnym Podhalu” kilka konkretnych wskazówek warsztatowych:

„Wiersz pierwszy trzeba wzmocnić, zmocnić, zjedrnić, żeby miał więcej energii, siły rozpedu. Taki wiersz może być tylko Odą do młodości albo wcale nie być (...) Niech Pan w Słowackim i w Asnyku uczy się wykwintu wyrażenia, bo to jest kardynalny warunek poezji. Kasprowicz może być odstrasającym przykładem tego braku. Styl to człowiek — powiedział ktoś, jak Pan wie, niech więc styl będzie szlachetny, najszlachetniejszy, jaki można. Wiersz liryczny musi być jak księżniczka krwi, albo jak rycerz — ale nigdy jak panna służąca, albo drwal, jak również nigdy jak bankierówna, lub metr tańca. Być prostym ale wykwintym”. (28. I. 1898)

Ten pierwszy etap „terminowania” Orkana — poety rychło miał się zakończyć.

W roku 1900 ukazał się tom nowel „Nad urwiskiem” oraz powieść „Komornicy”, które to dzieła dowodziły, iż Poręba Wielka wydała nam nie poetę, ale znakomitego prozaika. W prozie miał się objawić prawdziwy talent autora „W roztokach”, Orkana—prozaika zaakceptowała też szeroka publiczność. Nie przyjmował jednak tej prawdy do wiadomości sam Orkan, wciąż próbujący pióra w poezji. Pisał też coraz to nowe wiersze, nie zawsze udane. Toteż w dniu 14 kwietnia 1905 roku zniecierpliwiony „mistrz”, K. Tetmajer oświadcza:

„Powieć Panu szczerze, bo się przecież dawno i dobrze znamy, że mi się wiersze nie strasznie podobają. Są niedbale i na kolanie pisane”. Jest to bodaj ostatnia w listach Tetmajerowych wzmianka o warsztacie

pisarskim niegdyśszego swego protegowanego. Trudno dziś stwierdzić na ile rady starszego kolegi odnosiły skutek. Wiadomo wszelako, że Orkan nie zarzucił pióra poety, nadal też — choć coraz rzadziej — pisał wiersze.

Zerwanie nici wiążących ucznia z mistrzem pozostaje w pewnym związku z dramatyczną chwilą w dziejach ich długoletnich kontaktów. Chwila ta nadeszła w roku 1909, znacznie też zaważyła na dalszych losach tej przyjaźni. Poszło właściwie o drobiazg. Oto w związku ze znanym sporem K. Tetmajera z W. Feldmanem doszło nieomal do zerwania kontaktów autora „Legendy Tatr” z twórcą Franka Rakoczego. Zapowiedź konfliktu przynosi krótki list Tetmajera z 21 czerwca 1909. Czytamy tu:

„Szanowny Panie! Donoszę bardzo uprzejmie, iż występuję z Komitetu, a zarazem proszę o wyżamanie mię z listy członków Stowarzyszenia Literackiego, do którego zostałem przez Sz. Pana zaproszony”.

W sierpniu tego samego roku śle Tetmajer na adres Orkana kartkę pocztową przeznaczoną dla Tymona Niesiołowskiego, w której zarzuca autorowi „Pomoru” nietakt towarzyski. Wreszcie, w dniu 8 sierpnia przesyła długi list, który warto tutaj przytoczyć w całości:

„Panie Władysławie! Dlaczego Pan udaje, że Pan nie rozumie? Jeżeli ja Panu, a raczej Niesiołowskiemu à propos Pana, napisałem na otwartej karcie, to dlatego, że jeżeli kto czytał Pańską zaczepkę, powinien także przeczytać moją odpowiedź. Co Pan pisze o przejęciu listu przez przyjaciół Feldmana — jeżeli Pan przypuszcza, że miałem na myśli Pana, czy Żeromskiego, czy Daniłowskiego, czy kogokolwiek, to ja za taką nieodrzeczność Pańskiej wyobraźni nie mogę być odpowiedzialny, w każdym jednak razie jeżeli Pan co takiego mówił, to proszę odwołać. Po człowieku, który mi takie dał dowody, jak Feldman, łajdactwa, spodziewać się można wszystkiego — godnych przyjaciół mu też nie brak. Niesiołowski mi to nasunął błędną informację. Niepotrzebnie Pan trąca ani o swoją wdzięczność, ani o moją „pańskość”. Moja „pańskość” polega na tym, abym nie był w służbie ani u żadnej doktryny, ani u nikogo i niczego i żebym uznawał to, co mi się podoba, równie na lewo, jak na prawo i w środku. Sam sobie jestem pan, jeżeli Panu o to chodzi. A jeżeli Pana korci to, żem z Komitetu wystąpił, to moim zdaniem, gdyście mnie tak daleko i od projektu Towarzystwa i od jego robót stojących zaprosili i do Komitetu wybrali, tych ludzi, którzy do tego komitetu należą, jeśli mieli ochotę Feldmana bronić, było obowiązkiem względem mnie swoje stanowisko wobec jego napaści na mnie zaznaczyć, a powinno było być potrzebą względem tych panów samych. Ja nie czytałem, ale Wście czytali wszyscy co F(eldman) na mnie napisał. Skoroście mnie zaprosili, tym samym uważaliście to za kłamstwo, że ujmując się za F(eldmanem), eo ipso ujmujecie się za człowiekiem, który Waszego Komitetowego Kolegę napadł niecnie i przechodził nad tym do porządku dziennego. Bez wątpienia — można było tak zrobić, tylko nie można się dziwić, że ja spośród Panów wystąpiłem. A gdym przystąpił, niedługo po moim opowiedzeniu w „Liście”, że do Komitetu należą, ogłoszono komunikat, kto do Komitetu należy, gdzie było prostym poczuciem taktu dodać: p. T(etmajer) z prywatnych względów wystąpił. Albo się ma pewne poczucie obowiązków koleżeńskich, albo się ich nie ma. Niezmiernie żałuję, żem się do Towarzystwa zbliżył, bardzo się cieszę, że tak prędko z Komitetu wystąpiłem. Może to być towarzystwo nadzwyczaj godne, zacne, wyborne i znamienite (piszę to bez żadnych ironii), a u mnie się owies, pszenica, jarzecz i żyto mierzy jedną miarką. Nie mam najmniejszego żalu, czy urazy, tylko nie chciałem należeć nadal. Jako zwykły członek Towarzystwa, jestem tak obcy i daleki, jak każdy inny literat i żałuję, żem kiedykolwiek był bliżej. „Tyłe” — jak Pan pisze.

Co Pan pisze o „dysonansach” etc. nie ma sensu — również bym pewnej kategorii uwag nie przyjął od Pana, młodszego, jak od Sienkiewicza, starszego. O prawdziwych czy nieprawdziwych przyjaciół dbam mało, dbam za to o takt koleżeński.

Ściskam Panu rękę

Kaz. Tetmajer”

Mocno nadszarpnięte stosunki obu pisarzy nigdy nie miały już powrócić do niegdysiejszej harmonii. To prawda, że i później, w 1911 czy w 1919 r. pojawiają się listy, a właściwie kartki Tetmajera, świadczące o poprawnych między nimi stosunkach. Nie wykracza przeciw w nich autor „Legendy Tatr” poza zdawkowe słowa o przyjaźni. Orkan ze swej strony nie zapomniał o swym niegdysiejszym „mistrzu”. Z największym uznaniem pisze o „wsi Tetmajerów”. Ludźmierzu, sławi imię autora „Na Skalnym Podhalu” w „Listach ze wsi”. To wszystko prawda. Ale prawdą jest także i to, że nie była to „dobra” przyjaźń Orkana. Nigdy nie doszło do zbratania się tych wielkich śpiewaków Podhala. A przyczyna tego tkwiła nie tyle w różnicy wieku (ostatecznie niewielka), ile w usposobieniu tych dwu ludzi, albo jeszcze jaśniej — w ich przynależności do dwu różnych stanów. To wcale nie przypadek, że w dramatycznym roku 1909 właśnie „pańskość” Tetmajera została wyciągnięta na wierzch przez autora „Komorników”. Syn Smaciarza, Franciszek Smaciarz — Smreczyński wyrósł z gleby chłopskiej. I owa chłopskość, świadomość przynależności stanowej, manifestowana przez pisarza nie tylko faktem zamieszkania na wsi, w Porębie Wielkiej, nade wszystko jednak — w całej twórczości literackiej i społecznej („Listy ze wsi”), owa chłopskość była kompleksem Orkanowym, którego nie sposób było wykorzenić. S. Żeromski przez całe życie nie potrafił wyzwolić się z kompleksu „szlacheckiego”, swej, bo przodków swych winy wobec ludu. Zarówno Matus Pulut, jak Jan Chudy, Gibała czy chłopcy z „Sulkowskiego” — wszyscy zdają się być próbą zadośćuczynienia, „oczyszczenia” się z winy, przełamania kompleksu „szlacheckości”. Nigdy się to Żeromskiemu nie udało. Jak nie udało się Orkanowi. „Pańskość” Tetmajera, choćby nawet iluzoryczna, stworzona przez samego Orkana, stanęła na drodze zbratania się tych twórców. Ale bo też w sferze uczuć nawet pisarz tej miary moralnej co Orkan nie może być panem swej woli.

* * *

Korespondencja Leopolda Staffa z Orkanem jest niewielka w rozmiarach, obejmuje też kilkanaście listów, bodaj wyłącznie z lat 1902—1905. A przecież mylili się ten, kto by po owej szczupłości listów sądził chciał o luźności stosunków między tymi ludźmi. Przeciwnie. Dowodzą one, jak bodaj żaden inny zespół listów w całej olbrzymiej korespondencji autora „W roztokach” istnienia silnych więzów przyjaźni między Staffem i Orkanem. Jedyny to bodaj przykład przyjaźni rówieśników, zarazem — kolegów, poetów, młodych ludzi.

Na taki a nie inny kształt tych związków wpłynęło bez wątpienia istotne w takich wypadkach wzajemne uznanie dorobku przyjaciela. Być może, iż zważyło na tym także i to, że Staff wypowiedział się głównie w poezji i dramacie, Orkan zaś — w prozie. Nade wszystko jednak decydowało tutaj jeszcze coś innego: podobieństwo usposobień i zainteresowań, młodzieńcza ufnosć w świat i ludzi.

Bliskie kontakty tych dwu twórców trwały krótko, były wszakże bardzo żywiołowe i zażyłe. Razem spędzili wakacje 1902 r. w Gorcach, razem uprzednio zwiedzili Włochy, razem też dzielili w latach 1901—1905 radości i smutki na trudnej drodze do sławy. List Staffa z 29 listopada 1902 roku, wysłany z Paryża, to nade wszystko ciekawy przyczynek do poznania osobowości autora „Skarbu”. Czytamy tu o uroczach stolicy świata i jego wartościach:

„Jestem taki pochłonięty przez Paryż, jak Jonasz przez wieloryba. Pracuję dużo i uczę się dużo. Nauka tu wielostronna, szeroka, na każdym kroku. Nie mówię oczywiście o uniwersytetach. Te dość podobne do innych, ale samo życie najszersze, najbogatsze, intensywnie, którym się tu żyje. Tu się żyje za dziecięciu ludzi (...). Wszystko to mężczy, obarcza, wyczerpuje — ale równocześnie daje dziwną odporność i siłę ciała i duszy. Zryje się gorączką, codziennie ma się przed oczyma wyocznie jednocznościowego świata. I można się w tym mieście rozkochać jak w kobiecie. Byle nie na zawsze.”⁴

Rychło jednak powraca w tej korespondencji sprawa literatury. U schyłku 1902 roku Orkan wydaje

„W roztokach”. W styczniu 1903 r. Staff śle przyjacielowi serdeczne słowa podzięki za wspaniałą powieść: „Pomagaj Bóg”, które Ci się należy i które Ci rzucaam za „Roztoki”. A kóżby to miał zrobić, jeśli nie ja, który może więcej i Rakoczege i te Cyrki, Dyabły i inne czorty rozumiem, bom się tam także tułał po tych ugorach, żył wprawdzie więcej tym co w nich dobre i miłe dla „cepra”, ale często wspominam, jakżeś mi o tym gadał; jak powieść ta jeszcze w Tobie żyła, a na tle, które czułem i widziałem. Stworzyłeś sobie piękny świat, snuj go dalej. Niech Ci się szczęści.” (I, 1903).

Pierwsze spotkanie przyjaciół po paryskiej wyprawie Staffa następuje we wrześniu 1903 r. Spotkanie to, tak oczekiwane, kończy się jednak zgrzytem. Cóż się stało? Na pozór nic, a jednak wiele. Świadczą o tym piękny list Staffa z 25 maja 1904 roku. Oto jego fragment:

„Kochany, drogi i złoty Władku! Jużem Ci pisać powinien był dawno. Na list Twój sprzed kilku miesięcy, który wierzał mi był mi czymś więcej niż listem, bo darem żywej duszy, darem jakich dziś w ogóle niewiele i coraz mniej, jeśli nie dałem odpowiedzi, to właśnie dlatego, że był więcej niż listem. Chciałem ot po prostu wyczekać Twego powrotu i wpaść na dzień lub dwa do Ciebie, aby Cię wyściskać i wygadać wszystko, co do wygadania było. I ucieszyłem się bardzo, żeś tak po prostu, z serca, z całą ufnoscią do mnie się odezwał, i cieszyłem się, że tyle zapór, które jak nam się jeno zdawało, że są między nami, pokazało się tylko pozorem zapór nie istniejących. Jeśli co było, co nas od siebie jakimś murem dzieliło, to chyba jakaś wzajemna rezerwa, jakieś przypuszczenie ze strony każdego z nas, że strona przeciwna ma jakiś tajemny, a może bardzo usprawiedliwiony powód, dla którego taki stan rzeczy, takie pewne oddalenie chce utrzymać. Z d a w a ł o mi się (jak teraz to widzę), że tak jest z Tobą, zapewne zdawało Ci się, że tak jest z mną. I oto wystąpiły nasze delikatności, może przesadzone, co może nie jest naszą stroną ujemną, wystąpiła ostrożność, aby się nie narzucać sobie wzajemnie, nie wchodzić nikomu w duszę nieproszonym gościem. Czy nie tak Ci się to teraz tłumaczy?”

Uważna lektura tego listu pozwala nam odnaleźć sedno sprawy. Nie chodziło tym razem bowiem ani o kwasy, ani o nieporozumienia. Po prostu rozchodziły się oto drogi niedawnych przyjaciół. Mijały bezpórotne czasy młodzieńczego entuzjazmu, braterskiej wylewności. Rozpoczął się wiek męski, który jakże często na bok odrzuca młodzieńcza, afektowną przyjaźń. Zjawisko to, które można by po Conradowsku nazwać przejściem przez „smugę cienia”, rzadko bywa przedmiotem zainteresowania biografów. A przecież jest to bodaj jedna z najważniejszych chwil w życiu człowieka. Świadectwem tego — wzmiankowany list Staffa do Orkana. To prawda, że „nic się nie stało”, stało się przecież tak wiele! Uchodziła w przeszłość młodzieńcza, pełna ufnosć nie znająca tajemnic przyjaźni. Nie było czasu na narodziny przyjaźni męskiej. Wprawdzie jeszcze w 1904 i 1905 roku odwiedzają się pisarze, w grudniu 1904 roku Staff zabiega u wydawców o pieniądze dla Orkana, w sierpniu 1905 roku zajmując się sprawą wystawienia w Krakowie Orkanowej „Winy i kary”, zaś w r. 1920 zaprasza Orkana „po starej przyjaźni” do współpracy w „Nowym Przeglądzie Literatury i Sztuki” — to wszystko przecież nie zmienia istoty sprawy. Minęła bezpórotnie niegdysiejsza piękna przyjaźń dwu młodych twórców. Pozostały po niej miłe wspomnienia, ale niewiele więcej. Każdy z bohaterów cichego dramatu poszedł swoją drogą życia, szukał odłą szczęścia i prawdy o sobie na własną rękę. Takie są jednak prawa świata. Twarde, zmienić ich wszakże niepodobna.

* * *

Józef Jedlicz (Kapuściński) jest bodaj pierwszym ale i najwartościowszym uczniem Orkana. Zachowane w zbiorach orkanowskich listy Jedlicza pochodzą z lat 1899—1924⁵. Ich lektura pozwala nam odkryć nowe, nieznane rysy autora „Roztoków”, rzuca także spory snop światła na tragedię Jedlicza — pisarza.

Pierwszy list Jedlicza do Orkana pochodzi z dnia 16 listopada 1899 roku. Pisze go Jedlicz — student, współpracownik wydawanej przez A. Grzymałę-Siedleckiego „Młodości”, „uczeń” Orkana. Ów „uczniowski” ton pobrzmiewa zresztą w wielu listach autora „Słonecznej pieśni”. Pisze Jedlicz:

„Nie wierzy Pan, jak mi się daje uczuć brak Pana. Przekonałem się ze smutkiem, iż jestem jednym z tych skrajnych życiowych niedołęgów, czasem po prostu brak człowiekowi sił. W takich chwilach tak miło pogwarzyć szczerze z kimś bardzo pobłażliwym, który wobec niecodziennych objawów głupoty ludzkiej nie robi miń serio. Faktycznie lepiej byłoby porozmawiać ustnie, bo widzę z tego listu, że nie napisałem Panu nic z tego, co właściwie chciałem napisać.”

Bezpretensjonalne, pełne młodzieńczego zaufania słowa Jedlicza rozbijają swą szczerością i prawdą. W dalszych listach „uczeń” spowiada się „mistrzowi” ze swych lektur i pomysłów, stanów ducha i... kiepskości. Wynosi pod niebiosa utwory Orkana:

„Juzyna” sprawiła mi prawdziwą rozkosz, jest to stanowczo najlepsza z Twoich wszystkich nowel. Jest to skryształizowanie mojego ideału, jeśli nie programu. Dusza ludu to grunt, tak, tak, reszta to wszystko łupina, śmieć, która się zmienia i ulega ewolucjom. Artyści odtwarzający duszę nie ulegają modom literackim i mogą być spokojni o przyszłość. Tylko niestety nasze dzisiejsze wielkości nie rozumiały dobrze co to jest „dusza”. (3. IV. 1900)

W miarę jednak upływu czasu „uczeń” ustępuje miejsca partnerowi, koledze, przyjacielowi. W końcu 1901 roku otrzymujemy pierwsze świadectwo tego procesu. Oto w liście z 12. XI. 1901 r. czytamy słowa mocno zaskakujące, ale jakże interesujące:

„Ale wróćmy do sztuki polskiej „współczesnej”. Twoje wiersze w „Krytyce” bardzo jędrne, b. poprawne, ale wierz mi, to są stare dowcipy. Czy Ty się nigdy nie zastanawiasz, żeby wyszukać nową drogę, po której nikt nie kroczył? Rumienisz się z gniewu, ale daj spokój stary, gniewaj się lepiej na Stena, który szpetnie przymówił Ci w ostatnim wierszu Twej sylwety. (Pewną rację przynajmniej mu i przynajmniej taką samą, jaką przynajmniej Twemu gniewowi).”

Rzadko zdarza się w życiu, by uczeń przybierał wobec mistrza ton mentora. Nie ma go też i tutaj. Jest natomiast szczerza, koleżeńska otwartość, mocne potwierdzenie narodzin przyjaźni. A ponieważ stało się to stopniowo, w wieku dochodzenia do dojrzałości obu partnerów, można było oczekiwać, że przyjaźń ta będzie trwała. I tak było istotnie. Wybuchający jak gejzer talent Jedlicza rychło zostaje dostrzeżony przez „wielkich” ówczesnego świata literatury. Drukuje jego wiersze W. Feldman w „Krytyce”, Wysłouch w „Tygodniu” i ... Miriam w „Chimerze”. Zyskuje Jedlicz wysokie oceny Stena i Kasprowicza. A przecież i teraz ten niedawny surowy sędzia wierszy Orkanowych nie waha się przesłać do Poręby Wielkiej kolejnych próbek swego pióra z prośbą o ocenę:

„Tylko proszę Cię bardzo nie czytaj nikomu. (...) Wierz, że komu innemu nie posłałbym nic podobnego — nawet Bruner, z którym żyję w największej przyjaźni, nie zna mnie właściwie. Bo i po co? Ciebie zaś jednego uważam więcej niż za przyjaciela — bo za brata — i inaczej być nie może.”

W dwa miesiące później szczęśliwy, pasowany niedawno na poetę Jedlicz pisze:

„Na ostatek donoszę Ci, iż niebawem będę miał wspaniały cykl sonetów pt. „Tantale” — 10 sonetów prawdziwie chłopskich, o jednej treści.” (7. III. 1902)

Jak często to w życiu bywa, także i ta przyjaźń miała przejść próbę ognia. Stało się to u schyłku 1902 roku, a powodem była sprawa całkiem błaha. Problem urosł wszakże bardzo szybko do wymiarów ostatecznych i to wcale nie z winy Jedlicza, ale... właśnie Orkana. Bliższe omówienie tej sprawy pozwoli nieco głębiej wejrzeć nie tylko w psychikę autora „Słonecznej pieśni”, ale głównie — Orkana, w jego drażliwą, skłonną do wybuchów naturę.

Rzecz poszła o projekt spędzenia przez Jedlicza wakacji w Porębie Wielkiej. Od dawna przewijał się

już w listach Jedliczowych motyw wyprawy do Poręby. W roku 1902, chcąc bliżej poznać warunki spędzenia tam urlopu, wypytuje nasz autor o to bliżej nieznana nam panią B. Pyta o koszty, wikt, pieczę itp. Indagowana pani nie omieszkuje zrelacjonować Orkanowi pytań Jedlicza, prawdopodobnie odpowiednio je ubarwiając. Uniesiony ambicją „harnaś” z Poręby śle Jedliczowi list pełen wymówek. W odpowiedzi otrzymuje list dosyć długi, ale jakże wymowny w swej treści. Warto zresztą odwołać się do tekstu, cenne to bowiem świadectwo trwałości więzów przyjaźni łączących tych dwu ludzi, jeden też chyba z piękniejszych listów, jakie zawiera wielotomowa „Korespondencja” Orkana. Czytamy tu m. in.:

„Piszesz mi dziwne słowa o wdzięczności, których serio nie rozumiem. Tyle razy już mówiłeś mi o niej, czy to potrzebne? Czyżbym kiedy okazał się wobec Ciebie niewdzięcznym? Są ludzie, którzy nie uznają tego uczucia, ale mimo najsumienniejszego rachunku ze samym sobą nie mogłem znaleźć, co dało Ci powód do takich uwag. Nie będę Ci pisał, że wszelkie uczynki ludzkie, które chcą stanąć na pewnych wyżynach (a na tym punkcie miałeś zawsze wyraźne ambicje) nie oglądają się nigdy na owoce, bo całą zapłatę znajdują wewnątrz siebie.

Nie. Ale nie należy policzkować moralnie człowieka, który nie miał jeszcze sposobności wypłacić się, który jest silnie przekonany, że słowo „wdzięczność” nie da się innym zastąpić i który to uczucie chował jak delikatną, a rzadki kwiat. Tymczasem Ty piszesz: „jako jedyną zapłatę wdzięczności etc.” Doprawdy na tym punkcie nie stoimy na jednakich wyżynach, ale jak mi Bóg miły, to nie ja się poniżam. Zbyt wiele już na mnie plwano, tylko jedynie dlatego, że byłem w takiej lub owakiej nędzy, ale nikt nie ma prawa pastwić się nade mną moralnie za jedną jedyną winę, że zbyt często zwracałem się o pomoc do tego lub owego członka społeczeństwa. (...) Tyle o osobisto-prywatnych sprawach, bo poza tym wolno mi chyba wydawać sądy o Twych książkach etc., bo inaczej nie powinienbyś ich drukować. A na tym punkcie nie tylko z tytułu wdzięczności, ale w ogóle z żadnego innego tytułu nie pozwolę się tyraniżować — Tyle chciałem Ci powiedzieć (byłoby więcej), ale występuję tylko w pozycji obronnej, tylko tyle, zwłaszcza, że mozem się już nie obaczyć. Pozostaję pełen szczerzej wdzięczności. Józef Kapuściński” (28. XI. 1902).

Znakomitym dopełnieniem, a właściwie — dalszym ciągiem tego listu, jest kartka z dnia 20 stycznia 1903 roku. Znacznie uspokojony już, po pojednawczym liście Orkana, pisze Jedlicz:

„Co się tyczy kwasów, które uczyniły się między nami, to właściwie zważywszy, takie rzeczy nie powinny chyba psuć naszej braterskiej harmonii i przeszkadzać wzajemnemu duchów promieniowaniu, które nawet nieświadomie działa dobroczynnie na energię. Powtarzam na energię, gdyż nie chciałbym być znowu źle zrozumianym, tak jak ongi, a jeśli coś w tym Cię urazi, to nie sądź źle, a czekaj uстного porozumienia. Właściwie zważywszy, wina była po obu stronach. Moja, że za mało dawałem, a za dużo żądałem od ludzi i na odwrót za wiele czasem byłem szczerzy i wylany i zwykle brałem rzeczy tak po prostu, tak szczerze naiwnie po dziecięcemu, że można było brać niemal za genialność, gdyby w parze szły czyny. (...) O Twojej nie będę pisał, napomknę tylko — iż w stosunku ze mną za mało byłeś solidny, często taki nierówny i nonszalancki i to właśnie głównie raziło mnie zawsze u Ciebie. Jestem naturą kranćcową, żądam albo całej duszy, albo nic; z Tobą żyłem najbliżej.”

Przyznać trzeba, iż „znalazł swój swego”, partnerzy odkryli karty, mogli też odtańcować sobie zaufań. Przeszedłszy próbę trwałości, przyjaźń Orkana z Jedliczem przetrwać miała długie lata. Prózno też w okresie późniejszym szukać w listach Jedlicza śladów jakichś nieporozumień z autorem „Czantorii”. Z drugiej strony słowa jego zachytu np. po lekturze „Roztóków” trudno uznawać tylko za zdawkową formułkę.

Świetnie zapowiadająca się twórczość poetycka i nowelistyczna Jedlicza napotkała dosyć rychło przeszkody. Założenie przez pisarza rodziny, konieczność

jej utrzymania, zmusiły naszego „Podhalanina” — bez wątpienia najzdolniejszego z całej grupy — do podjęcia ciężkiej pracy zarobkowej w wydawnictwach i redakcjach. Giną też w listach jego do Orkana wzmianki o literaturze, ustępują miejsca opisom rozlicznych kłopotów życiowych. Niejeden raz będzie teraz Jedlicz służył Orkanowi za pośrednika w pertraktacjach z wydawcami, zabiegał będzie wokół interesów autora „Pomoru”. Ale kiedy wypaliła się młodzieńcza twórca werwa i moc, kiedy gejzer zmniejszył

znaczenie swoje działanie, zagubiła się gdzieś i niegdysiejsza zaborcza przyjaźń. I tylko kiedy jeszcze latem 1922 roku odwiedzi autor tomiku zatytułowanego „Nieznanemu Bogu” Orkanową Porębę, obudzi się w nim pamięć o młodości, o przeżytych latach wielkiej przyjaźni. Przyjaźni żywiołowej, bujnej i bogatej, po latach — zszarzałej i spłowiałej, wytartej wieloletnią pogonią za chlebem, a przecież trwałej.

¹ J. Kaspruwicz, Poezje, Lwów (1888), s. VII—VIII.

² W. Orkan, Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera Warszawa 1898, s. 1—2.

³ Listy K. Tetmajera do W. Orkana, Rkpsy BJ, sygn. 8631 III.

⁴ Listy L. Staffa do W. Orkana, Rkpsy BJ, sygn. 8629 III.

⁵ Listy J. Jedlicza (Kapuścińskiego) do W. Orkana, Rkpsy BJ, sygn. 8615 III.



SZCZEPAN WĘGLARZ spod GORYLA (SzcZawnica) *

TEŃSKNICA

Smutno wygnańcowi na tej obcej ziemi,
Tęskno bo nie razem ze swymi krewnymi.
Zol mu za rodzeństwem i rodzinną strzechą,
Ktoz mu na obczyźnie tu będzie pociechą?
Ostawił on góry i rodzinne sioło,
Zielone uboce i piekność wokóło ...
Kied sobie podumo o rodzinnym kraju
Gdzie było wesoło, jako ze by w raju!
Wsyćka se znajomi, swoi przecie ludzie,
A tu wsyćko obce, no i na obłudzie,
Bo mo choć i stycność z totym obcym ludem,
Języka ich nie zno, zycie jest mu trudem.
Kiedy se podumo — lza się mu zakręci —
Zakichane zycie weale go nie nęci.
Siednie se w ustróniu, casami popłace —
Dzisiaj tu, jutro hań, to zycie tulace ...
On tu zawse cudzy, tu nie jego strony,
Jak długo tu będzie, to wse zasmucony.

Porzuci to ten kraj dlo niego niedrogi —
Zawróci do ojców, w rodzicielskie progi.

(1 stycznia 1911 roku)

* Szczepan Węglarz z Barychowa ze SzcZawnicy wyjechał za chlebem do Ameryki na długo przed pierwszą wojną światową.

Tęsknota za rodzinnym krajem kazała mu pisać zale swego serca. Układał wiersze proste jak zycie górala tęskniącego za swymi górami, skalicami, za pieniącym Dunajcem, którego — jak wielu uchodźców — „wrzucili dulary do majny (kopalni)”.

Szczepan Węglarz był jednym z pierwszych poetów ludowych Pienińszczyzny. Powrócił do kraju, zmarł w swojej ojczyźnie w roku 1930. Pochodził ze starego rodu Węglarzów, potomków dawnych wybrańców na „Niterbagu”.

Pożółkły zeszyt jego wierszy, pisanych zwykłym ołówkiem, znajduje się w Muzeum Pienińskim w SzcZawnicy. (MSDz)

SŁAWEK SŁOWIK (SzcZawnica)

POWINOWACI

(śpiew słowików)

Śpiewoj se słowiku śpiewoj
dumoj downą nutką
o mamunaf, zbójceki dukataf w Cuprenie
jak to se Janiś skokoł bez Dunajec
jak wyhipnął na scenie
Jak mój dziód przy krzyzu
z moździerza se hukol
jak to przy kentwinie
zimą baby przedły
piyrze skubały
gwarzyli se swoki
jak downiej bywało
zabocyłef godać, pisać zabacuję
przesiãknąłef ksiązką
patrzę w telewizor
zol mnie biere, biera złości
chopecy zobocyli gwiozdy i turonia
posed by jo z niemi, jeno mi nie skoro
bo sie boję siebie, ze mi gwizdu braknie...
To ty dalej śpiewoj, rozhuckoj Pieniny
rozbimboj zwoń, zastąp pustelnika
niechze tradycyjo pienińsko nie zaniko...





Pienińskie śpiewy i tańce

*Nie ma ci to nie ma, jak se nad Dunajcem,
choć mnie bieda bije, to jo sobie tańc!*

Śpiew i taniec, który powstał wraz z pojawieniem się rodzaju ludzkiego, od tysięcy lat dominował u pierwotnych wspólnot ludzkich, grup etnicznych, rodów, na różnych kontynentach naszej ziemi. Taniec był wyrazicielem radości, modlitwy do bóstw, błaganiami o odwrócenie nieszczęść. Był podtrzymywaniem tradycji.

Tak samo i w dziejach prasłowiańskich, na naszych ziemiach taniec na różnych uroczystościach, przy ogniskach sobótkowych i innych, był tradycyjnym obrzędem. W późniejszych wiekach powstały różne tańce szlacheckie jak polonez czy kadryl, oraz ludowe: krakowiaki, oberki, mazurki, na Podhalu góralski, a u górali beskidzkich trojaki, kołomyjki i skoczne obyrtasy.

Ziemia Pienińska jak bardzo jest bogata w śpiewie, w nutach czyli melodiach, tak w tańcu jest uboga. Stare tańce nie utrzymały się do dzisiejszych czasów.

W latach dwudziestych, po pierwszej wojnie światowej, opowiadał mi jako chłopcu stary, osiemdziesięcioletni Majerczak-Baraś, słynny gawędziarz pieniński, że z podań jego dziadka wynika, iż był w pienińskiej ziemi taniec zwany walaśki czyli pasterki. Tańczony był na halach przy oryginalnej muzyce, składającej się z „piszolek i rogów dujących, lub gwizdów na palcach”. Był to taniec z walaśką czyli siekierką. W Pienińszczyźnie do niedawna siekierkę nie nazywano ciupazkami, tylko walaśkami lub juhaskami.

— Toniecnik wydziwił w rękach walaśką i nozkami mądziarował ze hej — opowiadał gawędziarz — cyfrówol niemi do zziąjanio. Taniec polegał na wytrzymałości i był rodzajem konkursu, opowiadał stary.

— Tu w górach, wolarzy, owciarów było dużo, a za to pasterek było skąpo, to tyz do jedne wiele sie podpuscało. A kiedy ta sie juz skusila na zeniackę, to miała w kim przebiyrac i kosała tończy walaśkiego, jeden przez drugiego i który nojdłuzy podoloł ciardasiować i nojnni sie zeziajoj i nimioł barz cu-pryny zmocanej, to ten wygrywoł śpas i pasterka brała go za chłopa.

*Takiego chodoka moje serce pragnie
co umie zaśpiewać, zatańcować ładnie.*

A tańczyć to nam każą, ale po ślubie i to „przez miotłę”.

Taniec obyrtany

Był ten taniec od dawna i jest tradycyjnym tańcem pod Pieninami. Nie obeszy się bez niego wesela, chrzciny, uroczystości rodzinne, a nawet pogrzebiny. Był to taniec pojedynczych par. Rzadko tancerz pozwał na wspólny taniec — „bo jo trzymom basy” — czyli zapłacił i dalej płaci za granie. Honorny tancerz wytańczył „za jednym zasiadem” wszystkie kobiety obecne na weselu, a każdej zaśpiewał inną przyspiewkę, wpierv zatrzymując muzykę, aby podać inną nutę.

Im więcej tancerz znał melodii, tym był sławniejszy, a do obyrtanego jest kilkadziesiąt melodii. Przyspiewki są wesole, czasami zabarwione erotyką, żartem, ale się o to nie gniewano.

On śpiewa:

*Pomatu mi grojcie, bof sie juz zadysot
bo sie toniecnicy brzusek rozkołytosot.*

A ona odwzajemnia:

*Rusoj ze sie fryśnij, stary popierdosie
nie zyrkoj na brzusek, ze sie ruso Kasi.*

Na początku tańca tancerz podchodzi ku muzyce, wyjmując pieniądze z kieszeni portek (dawniej z opasika) i wrzuca do basów. Popatrzy w koło po obecnych kobietach i woła po imieniu lub przezwisku:

— chyboj haw!

Tancerka podchodzi, on bierze ją lewą ręką pod ramię i śpiewa:

*Zagrojecie mi tadnie, gęślicki z jawora
bo jak źle zagrocie, bassam jęcycyboral!*

Prawą rękę podniósł w górę wywijając dlonie, jakby się odgrażał. Muzykanci wiedzą, że z takim nie ma co zadzierać. Chociaż zmęczeni, palce kołkowate, ale trzeba dobrze zagrać. Tancerz lewą ręką przeplata się z tancerką pod ramionami, trzymając się nawzajem. Zawsze początek tańca obracany jest w lewo. Tancerz obraca się na palcach lewej nogi odpychając się prawą, też przednią częścią stopy, trzymając się prosto, honornie, a tancerka wiruje obok niego tańcząc przednimi częściami stóp.

Honorny taniec obyrtany polega na tym, aby wyobrać się na jednej „forzcie” czyli desce podłogi, oraz aby on był tak równy, żeby „toniecnikowi jojko włożone na werśk kapelusa nie stullo się”. W czasie obracania, tancerz chcąc zmienić taniec w przeciwną stronę przycupkuje nogą, podnosi rękę w górę, stula dłoń. Tancerka wkłada palec do dłoni i obraca się, a on również w podskokach przytupując, sunie w przeciwną stronę. Finał tańca polega na tym, aby tancerka jak najdłużej wirowała w miejscu.

Tancerz staje, skoro chce zmienić tancerkę, tej wypuszcza palec ze swej dłoni, patrzy po kobietach, wybiera nową i woła: — chyboj! Nie podziękuje nawet tamtej, która odchodzi zadowolona, że ją „wytańcował”. Następnie nie całuje w rękę, prosząc do tańca, „bo ponoć nie jegomość” i tak odbywa po kolei, aż wszystkie wytańcował. W czasie tańca obyrtanego nie powinno się zdejmować kapelusza z głowy, bo on dozbraja ubiór górala, jak hełm żołnierza.

Taniec obyrtany drobiony, lub ścigany

Przeważnie tańczyli go starzy gazdowie. Taniec podobny do poprzedniego. Układ rąk i nóg ten sam, tylko tancerz zamiast obracać się na palcach na wprost wystawionej nogi, drugą odpychając się (przednią częścią stopy), drobi krótkimi krokami, jakby gonili tancerkę wkoło.

*Wysoko stonecko nad Tatrami
nierychtom sie wybrol z owieckami.
Juz owiecek nie widać
juz dzwonecków nie słyhać
Nie znajdě je, nie znajdě je.*

Polka

Taniec ten prawie się nie różni od podobnego w innych regionach. Pod Pieninami dawniej tańczono polkę bez przyspiewek, jak u Lachów sądeckich. Czasami tańczący, chcąc obrócić taniec w przeciwną stronę, śpiewa:

*Nawracoj, nawracoj, cisawego konia
bo twej fryjerecki, dzisiok niema w doma.
lub: Nawracoj, nawracoj, jak nawróćis pomacoj...*

Wówczas wszystkie pary odwracają taniec w przeciwną stronę. Do polki służy kilka tradycyjnych melodii granych w regionie pienińskim:

*W stawie ryby, w lesie grzyby, na jabłoni jabłka
nie kochojze cudze zony, ej zakozata matka.
Jakze jo je nie mom kochać, kiedy tako zgrabno
suknia na niej jak na pani, chustecka jadwobno.*

Polka rażna

Rażną polkę w innych regionach nazywają wściekłą, wariacką, a tancerz takiej nie zamawia. Przeważnie narzucają ją muzykanci, którzy przeciąganiem się tańca chcą zmęczyć tańczących, aby zakończyli. A czasami tancerz chce, żeby się tańiecznica zmęczyła zaśpiewa „ponukując” muzykę.

*A sik sik sik po podłodze
skokoj dziewce na swej nodze
Na nic nie zwozoj nie bocoj
jeno rażno sie obrocoj!*

Gdy jest „wyśmiechliwcem z niewymytym pyskiem” to dorzuci jeszcze:

*Przeskoczyła bez koryto
krzękła, stękała, dobre i to!
Podskoczyła do powały,
cycki sie ji rozbimbały.
Podskoczyła do okapu
a cycusie klapu, klapu.*

Taniec z początku dosyć mierny przechodzi w żywiołowy. Szybka melodia do taktu zapala tańczących, jak podmuch ognia. Jest to taniec wirowy z bardzo szybkimi obrotami. Jedni tańczą go z rozmachem tak, że drugich potrącają. Widać przytupki tancerza, przykłęknięcie, jakby się kłaniał tańczącej. Zawsze tancerz prowadzi, a partnerka wiruje koło niego, chcąc wyczuć jego ruchy taneczne, czy to przy zmianie obrotu, czy też przy tupkaniu, żeby się nie zawstydzić. Bo jakby jej tancerz zaśpiewał:

*Lepiej w lesie dźwigać kołem, jak tańcować
[z takim wotem
Odejsz od muzyki z nicem, jak mieć taką
[taniecznicę!*

„Waleyk” (wale)

Walc zawitał do Pienińszczyzny w połowie ubiegłego wieku. Przybył wraz z gośćmi, którzy przyjeżdżali do szczawnickiego „badu” i Krościenka. Aristokratyczne rodziny przyjeżdżały nie tylko na leczenie czy też odpoczynek, ale dla nawiązania znajomości, afiszowania się z córkami „na wydaniu”, jednym słowem w celach towarzyskich. Przybywali również wysocy urzędnicy i bogaci przemysłowcy i kupcy. Górale podpatrzywszy ich, puszczali się też w tany, a mieli tę możliwość, pracując przy zakładzie uzdrowiskowym jako „stróżki, podawajki” wody mineralnej, jako nalewacze (wysyłka wód mineralnych). A że górale są pojętni do śpiewu, muzyki i tańca, walc był masowym i pospolitym tańcem po obyrtanym i polce. Tańczono go poważnie. Muzykanci, śpisy cyganie, przybywszy na sezon do Szczawnicy popularyzowali go, ponieważ w naddunajskich krajach Węgier i Austrii był bardzo modny. Pienińscy muzykanci przyzwolili go, dobierając typowo regionalne melodie. Jedną najstarszą z nich i najczęściej graną, była z napoleońskich czasów; (dużo bowiem pienińskich służyło „u Napoleona”):

*Jakęf służył we dworze przy francuskim taborze
wysłużyłęf malučką, siedmioletnią panickę.
Niechcieli mi młodą dać, kozali mi wojówać.
Jo na wojnie wojuję, Hańcia w domu choruje.
Jo z wojenki powracot, koniś sie mi przewracot.
Przyjechałęf przed wrota, moja Hańciu puść mie
[ta.*

*Wyśta pani w zeleni, twoja Hancia już w ziemi
Pojechotęf na jej grób, koniś nozką tup tup tup.*

„Stajerek” (sztajerek)

*Zagrojciez mi stajerecka drobnego, drobnego,
Kaćmarečko dawoj piwka, dobrego!*

Dawniej był to taniec popularny przyniesiony przez „urlopników” służących w wojsku. Starzy gazdowie popisywali się nim, jakby pokazać chcieli, że jeszcze nie są tacy starzy, że nogi mają lekkie i nie garbią się latami. Taniec polegał na tym, że tancerz wykonywał go wyprostowany, drobiąc na palcach półobrotu w prawo, w lewo, a tylne części stóp wirowały w po-

wietru, raz się rozszerzając, to znów przybliżając do siebie. Taniec jakby naśladował walczyka, tylko drobienie tancerza nie pozwala na zamaszysty tan. Ukróca go. Tempo tańca wolne. Tancerka naśladuje tancerza. Czasami z półobrotu okrażenie. Ułożenie rąk dowolne, tak jak przy polce czy walczyku.

Najlepszymi tancerzami sztajerka byli nieżyjący już Wojtek Wiercioch-Wierciosek, Wojtek Zachwieja-Pyrsiak i Pietrek Zachwieja-Pypla. Dzisiaj jeszcze tańczy dawnego „štajerka” Józek Wiercioch z Kosarku osiemdziesięcioletni szczawnicki gazda, zapytując pieśnią:

*Kaćmarečko mos piwečko? — Mom ci ci, mom
[ci ci,
przyjdiesz do mnie do komory, dom ci ci, dom
[ci, ci...*

Hajduk pieniński

*Zagrojciez, zagrojciez, staremu hajduka,
niech se kierpiotkami po forztach postuko!*

Jest to stary taniec, wykonywany obecnie przez jednego tanecznika Józka Ciesielkę-Kubasa, osiemdziesięcioletniego górala. Podobny w przybliżeniu do podhalańskiego krzesanego. Zbiorowo już zaginął, ale jeszcze Józek od czasu do czasu zaśpiewa:

*Zagrojciez, zagrojciez, hajduka staremu,
niech se potańcuje i pódzie do domu!*

Żydek

Jest to polka. Tempo wolne. Melodia oryginalna. *Sta żydówka koło kramu, sukala se marcepanu, marcepanu nie znalazła i jesce do mlaki wlaźta. Żyd sie śmioł, jaz sie chwioł, żydówceke pocie- [sol...*

Przy wierszu „żyd sie śmioł” tancerz rozłącza ręce z tancerką, kładzie dłoń na swych biodrach i kiwa się na boki całym tułowiem, śmiejąc się. Tancerka podnosi fartuszek, wyciera oczy udając płacz, a po chwili żeby nie być dłużną, śpiewa:

*Idzie woda niesie żyda, ale żydku z tobą bieda
żydówka sie przypatruje, co ta bieda dokazuje
Aj waj waj, kimisiaj, żydku brodą porusaj!*

Tancerka chwytą partnera za brodę, który kiwa głową. Żydek jest tańcem zbiorowym, „wyśmiechliwym”. Którzy z tańczących najlepiej naśladują „wającego żydka”, ci zbierają oklaski.

„Ciardaś pieniński” (czardasz)

Też przywędrował zza Tatr. „Przyciardasiował!” go pienińscy, odbywający służbę wojskową przy węgierskich huzarach, również zbójnicy odwieczający „lewockie chodniki”, też juhasi pasący owce na spiskich balach i robotnicy pracujący w peszteńskich młynach i cegielniach.

Wracając, tańczyli go przy cygańskiej muzyce w „Ciardzie na Pienińskiej Polance” i w karczmie Winniarni Juri Słowika w Szczawnicy.

Ale nie był on tańcem popularnym. Nie tańczyli go wszyscy. Było kilku tancerzy, którzy się tym chętnie zajmowali. Pamiętam kilku. Jasiak Salomon-Misiaga, Jasiak Majerczak-Lejawowski i Józek Malinowski-Matruniak.

„Madziarski” narodowy taniec spienińszczył się, dobierając sobie melodie, kroki taneczne i oryginalne pienińskie pieśni:

*Jak mi przysła kartka narukować
Muzyčka mi przysła, marś, marś grać
Muzykanty moi, grojciez mi powoli
niech se zatańcuję do swej woli...*

Tempo wolne. Tańczący zwróceni twarzami do siebie, kładą nawzajem ręce na ramiona i zaczynają „ciardasiować” w takt muzyki.

*A ty moja miła siodłoj konia,
bedzies za to kiedyś moja zona.
Jak nie, to przystanę do herskich huzarów
weznę sobie zienkę od madziarów.*

Jest to taniec przeważnie pasterski, polegający na wytrzymałości. Taniec odbywa się w pozycji leżącej do ziemi, wsparty na rękach i palcach nóg. Tancerz podrzuca się w górę, klaskając w dłonie krążąc przy tym w koło przy śpiewie:

*Jo madziar, tyś madziar,
oba my se madziarowie,
jo na koniu tyś na krowie
Jo madziar, tyś madziar.*

Który z tańczących zrobił więcej okrążeń klaskając, ten wygrywał. Były jeszcze tańce „kował, młynarz”, które podobne były do polki.

W czasie tańca imitowano kucie żelaza pięścią po kolanie, czy też młynarskie czynności.

Dzisiaj pod Pieninami zagościły inne tańce, przeniesione z murzyńskich krain, a „wyśmiechliwce” dali im nazwę „szarpańce”, które nie pasują do naszego regionu. Prawdziwy góral, miłośnik piękna swego regionu, nie przyswoi ich sobie.

TADEUSZ STAICH

GAZDA MICHAŁ SPOD DZWONA SŁOWIK



Michał Słowik-Dzwon. (Fot. H. Zachwieja)

Właściwie powinno być: gazda Michał spod Dzwona Słowik Pieniński. Dwa są tego powody. Po pierwsze gazda Michał bezbłędnie i zmyślnie dostroił swój głos do słowików śpiewających w majowych gajach Pienin o Pieninach. Wystarczy choćby przeczytać jego pieśni zamieszczone na tych stronach i przetłumaczyć je na słuch. Okaże się, że tak właśnie śpiewają słowiki.

Po drugie — jest to człowiek ulepiony z Pienin. Reprezentuje tę ziemię w sposób doskonały, jest jej rzecznikiem, trubadurem i obrońcą.

Głównego jednak powodu, który skłonił mnie i zobligował do pisania o gazdzie Michała, szukać trzeba

gdzie indziej. Słowik-Dzwon, gdy bliżej mu się przyjrzeć i poznać jego dom, jego środowisko powszednie, jest typem człowieka współczesnego, który swoją przynależność do teraźniejszości mądrze i pożytecznie zbudował na przeszłości. Byłem w jego szczawnickim domu. Mieszka przestronnie, zasobnie, godnie. Urządzenie całego domu usprawnia i uprzyjemnia życie; mieszka się tutaj wygodnie. Przystrój izb pieniński. Dawny rodzaj mebli, ale do dzisiaj służący z należytą przydatnością, wygodnie. Na ścianach bardzo wiele plastyki w postaci rzeźb, wycinanek i obrazów na szkle. Wszystko to są oryginalne dzieła gazdy Michała. Godzinami można na nie patrzeć, podziwiać. Najważniejsze, że całość nie robi wrażenia jakiejś ekspozycji, czegoś na pokaz; nie narzuca się to wszystko, nie jest transparentem z hasłem — widzisz, jakim jestem bogactwem, jakie przy tym jestem kosztowne i jakie ładne... To nie są izby jedynie do pokazywania, a przecież dużo by się straciło, gdyby się ich nie widziało.

Zastanawia przy tym Michałowe malowanie na szkle. Jest to sztuka na wskroś oryginalna, nie mieszcząca się w znanych nam konwencjach tej dyscypliny. Stanowi ona organiczną część talentów i sztuki Słowika, jest bowiem ilustracją do jego wierszy, poematów i powieści. Najlepszym dowodem wartości i piękna Słowikowych malowanek na szkle, jest — po dłuższej kontemplacji — nieodparta chęć ich posiadania...

Ciepło mieszkalnej i tak przyozdobionej izby wzmacnia się najwidoczniej w obecności Zony poety, zażywnej, serdecznej gaźdżiny na pienińskiej zagrodzie. Zresztą wszystek tutaj nastrój usposabia rodzinnie, najmilej.

Sam gazda nie stracił w swej postawie i zwyku niczego z pieniskiej tradycji. Gwara górali z tej krainy jest jego mową powszednią i odświętną, podobnie jak ubiór. Słowik-Dzwon jest ogromnie czynny, jego udział w życiu społeczno-kulturalnym jest stały i plonodajny. Decydują o tym przyrodzone i pielęgnowane talenty. Urodzony w Szczawnicy w 1907 roku — ró-

wieśniak zakopiaskiego pisarza Adama Pacha — w starodawnej, pienińskiej rodzinie góralskiej, ukończył cztery klasy szkoły ludowej. Dalszej edukacji udzieliła mu pienińska hala i rola. W momencie nabycia sztuki czytania rozmiłował się w książkach. Mając lat szesnaście pisze pierwsze swe wiersze, niedługo potem próbując sił w ludowym dramacie. Sztuka „Janosik hetman zbójnicki” wystawiana jest na scenach amatorskich od roku 1928 po dzień dzisiejszy. Nie licząc drobnych obrazków scenicznych, należy wymienić dziesięć sztuk, napisanych przez Słowika-Dzwona. A jest to tylko część dorobku literackiego. Na zainteresowanie oficyn wydawniczych czeka trylogia, saga rodów szczawnickich, której tytuły w kolejności brzmią: Turowy róg, Zbójnicki róg i Gromadzki róg. Gotowy jest też tom opowiadań pt. W pienińskiej krainie. Gazda Michał zebrał przeszło 1600 pieśni i przyspiewek pienińskich oraz zapisał 44 melodie regionu. Cenna to praca, bardzo cenna; rodzi się przy tym refleksja, że wiele tego rodzaju materiałów ukazujących olbrzymie bogactwo kultury polskiej wsi czeka na opublikowanie.

Stosunkowo najlepiej znamy poetycką twórczość gazdy Michała. Kilkadziesiąt wierszy publikował w różnych czasopismach. Oczywiście główną przeszkodą publikowania Słowikowych dzieł jest trudno czytelna

gwara pienińska. Ale sędzę, że da się bez zbytniego uszczerbku zbliżyć tę gwarę w jej transkrypcji możliwie najbardziej do pisowni polszczyzny literackiej.

W 1959 roku Michał Słowik-Dzwon zakłada wspólnie ze Stanisławem Dominikiem, Władysławem Malinowskim i Wojciechem Majerczakiem Muzeum Pienińskie, z którym po dzień dzisiejszy jest bezpośrednio i najserdeczniej związany. Sprawa ta przypomina w swym zasadniczym wątku założenie muzeum wiejskiego w Białce Tatrzańskiej przez niezapomnianego gazdę Jana Parę. Powstało ono z inicjatywy chłopa, do końca wydajane było przez chłopa, a także prowadzone było i jest przez chłopa. To są właśnie znakomici społecznicy wiejscy, rozumiejący naczelną zasadę, że teraźniejszość i przyszłość buduje się na przeszłości. Materialne i umysłowe wartości przodków inspirują podobne wartości synów i wnuków.

Gazdę Michała uhonorowano złotą odznaką „Za zasługi dla Ziemi Krakowskiej”, odznaką i tytułem „Zasłużony działacz kultury” i wreszcie przyznaniem mu w roku 1977 najwyższej w literaturze chłopskiej nagrody imienia Jana Pocka.

Myślę jednak, że najwyższe odznaczenie trzeba nadać Słowikowej Matce: Pienińskiej Ziemi. Będzie to odznaczenie nadane przez nasze umysły i serca za piękno, które rodzi i za ludzi, których kształtuje.

MICHAŁ SŁOWIK-DZWON

SROMOWCE

Spadły dyjamenty z Trzech Korun i drogie

[perłowce

na rozsiadłe naddunajeckie kotliny

i tak się w legędzie zrodziły potrójne Sromowce
a drogość i wazność ich taksują Pieniny.

Zjeźdzali się tu kiedyś króle, po tote koruny

Cyrwony Kłostor się modlił, bo widział te buntury

Zygmuntury fałcne, scyre Władysławy

Luksemburskie Niemcy, polsko-litewskie sprawy

tu się wazyły i w te i w te strony

na jednym groniu radzili królowie, a na drugim pasły

[sie owce

w górze świeciły Trzy Koruny

a w dole dziedziny Sromowce

Wyżnie, Niżnie i Średnie

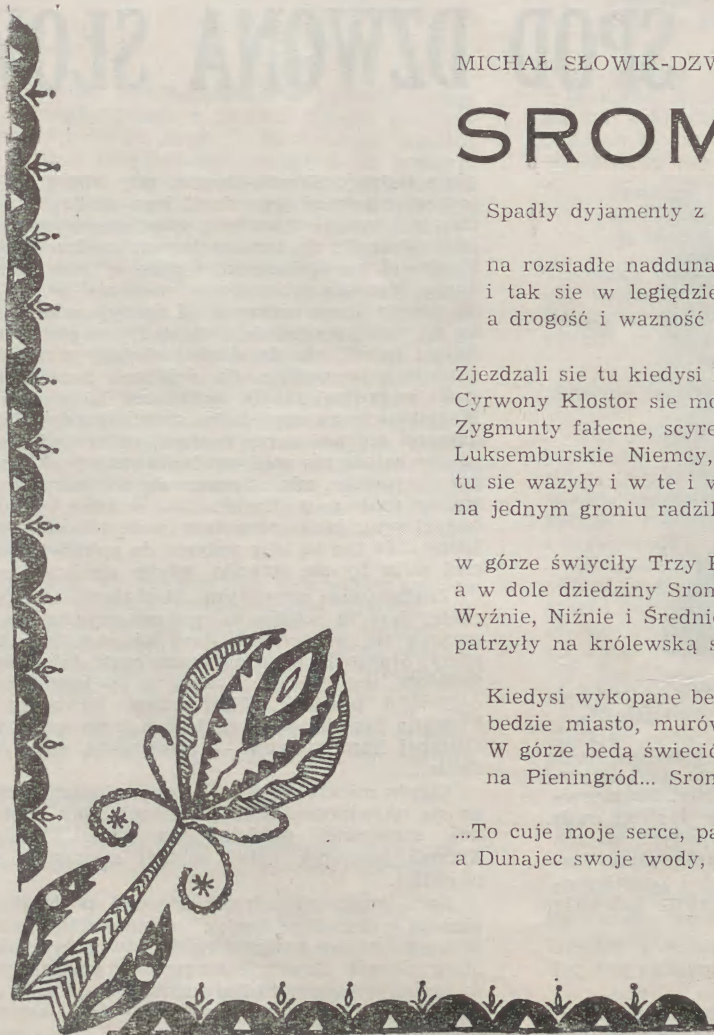
patrzyły na królewską scyrość i cysarskie brednie.

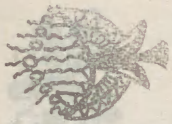
Kiedys wykopane będą znowu korun dyjamenty
bedzie miasto, murówanice, przystanie flisackie

W górze będą świecić latarnie: pienińskie giewonty
na Pienigród... Sromowce... historie sarmackie —

...To cuje moje serce, patrzą na to ocy

a Dunajec swoje wody, będzie dalej tocył.





ZAPOMNIANE ŚCIEŻKI

Już w 1938 r. na terenie regionu pienińskiego, a szczególnie w Szczawnicy, w oparciu o II wydział Armii Kraków, założony został 18-osobowy oddział dywersji pozafrontowej, pod dowództwem st. sierż. Macieja Mastalskiego. W sierpniu 1939 r. rozpoczęło się szkolenie w dywersji pozafrontowej, mającej na celu zwalczanie administracji wroga przez wysadzanie w powietrze obiektów obsadzonych przez okupanta, głównie magazynów, mostów i dróg dojazdowych, oraz nękanie wroga na każdym odcinku.

Lecz wszystko to w pierwszym dniu inwazji uległo radykalnej zmianie. Po załamaniu się polskiej obrony żołnierze z rozbitych oddziałów dniami i nocami zaczęli napływać na teren Podhala, żądni dalszej walki z napaścikiem. Wiadomości z radia zapewniały, że w dalekiej Francji tworzy się armia pod dowództwem gen. Wł. Sikorskiego. W tym to ciężkim okresie Szczawnica, jako miejscowość przygraniczna, stała się ważnym etapem drogi do wolności. Istniejący tu oddział dywersyjny decyduje się na szeroką akcję pomocy uchodźcom w oparciu o znajomości na stronie słowackiej, a w niektórych przypadkach o rodziny polskie zamieszkałe w przygranicznych osiedlach. Już od października 1939 r., wprawdzie nie zorganizowanie ale konsekwentnie, przeciera szlaki wiodeące do wyśniewanej Armii Gen. Sikorskiego. Już we wrześniu, jako emisariusz W. P. st. przodownik żandarmerii wojskowej Andrzej Gąsienica-Makowski przedzierza się samotnie i melduje w Marsylii o możliwości pomocy organizacyjnej dla uchodźców z Polski i powraca z poleceniami do polskich placówek, które mają zająć się uchodźcami na Węgrzech oraz dalszymi ich losami.

Z końcem października gen. Gałązka dociera pod opieką Macieja Mastalskiego i łączniczki „Kasi” (Katarzyna Tomala) do Budapesztu i „od ręki” organizuje bazę „ROMEK” oraz tworzy z przybywających do Budapesztu przewodników kadrę kurierów, których zadaniem jest nawiązanie łączności z Krajem i wspomaganie wszelkimi dostępnymi środkami uchodźców, tworzy dla nich po drodze przez Słowację punkty przerzutowe przez zwerbowanie do tej akcji pomocników z wypróbowanych przyjaciół.

Do grupy kurierskiej zostali zaprzysiężeni koledzy ze Szczawnicy: czterej bracia Mastalscy, Maciej, Wojciech i Józef, oraz ich kuzyn Władysław, dalej Franciszek Dziedzina, Andrzej Kozłeki, Andrzej Gąsienica-Makowski, Franciszek Koterba, Adolf Kapłaniak, Paweł Surma, Józef Surma, Jan Kowalczyk. Ci ludzie gorątkowo pracują, lecz to nie jest jeszcze skoordynowana akcja, są wpadki. Dopiero w końcu października zjawia się na terenie powiatu Nowy Targ znany mi osobiście porucznik W. P. Henryk Radosik, który pod pseudonimem „Herfurt” zakłada pierwszą grupę podziemnej armii pod wezw. „Orzeł Biały”, która zresztą wkrótce przekształca się w Związek Walki Zbrojnej „Z.W.Z.” W grupie tej zaprzysiężeni koledzy otrzymali funkcje: I. Jerzy Polaczyk, sprawujący urząd sekretarza w gromadzie Szczawnica, zadanie sabotażu gospodarczego na terenie całej gminy, II. kol. Stanisław Tomala „Stopa” jako sędzia Sądu Cywilnego — zadanie kolportażu prasy podziemnej, III. kol. Józef Hurkała, były ppr. W. P. zadanie nadzoru nad grupą dywersyjną, IV. kol. Tomasz Baran, kupiec, zadanie zbierania funduszy na pomoc dla uchodźców, wreszcie V. Franciszek Ciesielka, ps. „Cięciwa” — zadanie utworzenia kadry przewodniczącej specjalnie do przetrutów granicznych. I tak powstała silna grupa w osobach 1. „Cięciwa” dow. placówki, 2. Franciszek Dziedzina ps. „Wiwer” 3. kol. Andrzej Kozłeki „Małobab” 4. Józef Węglarz ps. „Rys”, Jan Ciesielka ps. „Kus”, Tomasz Baran ps. „Tomek” jako pomocnicy. Dalsza piątka, to Stanisław Błasiak „Pik”, jego syn Franciszek „Orzełek”, Jan Bułdacki „Jan”, jego syn Tadeusz — ci ostatni mieli za zadanie odbierać

grupy w Nowym Sączu, lub w Nowym Targu, i doprowadzać do Szczawnicy, gdzie zależnie od ilości osób wraz z jednym albo dwoma przewodnikami dokonywano przeskoku przez Słowację do węgierskiej granicy. Po stronie węgierskiej grupy takie, przeważnie wykrywane przez żandarmerię, były przewożone do znajdujących się tam obozów internowanych, skąd ich baza „Romek” wyciągała i kierowała dalej na zachód.

Akceja ta często była przerywana wpadkami kolegów. I tak w sam Nowy Rok 1940 złapany został kol. Kozłeki, jesienią wpada kol. „Rys” i prawie równocześnie wpada „Wiwer”. A gdy na dobietek ziego zostaje aresztowana żona „Wiwra”, sytuacja stała się bardzo trudna. Kolegę „Wiwra” przesłaliśmy do bazy „Romek”, stamtąd pojechał dalej do samodzielnej Brygady Karpackiej; ja zostałem już tylko z bratem Janem. Przez całą zimę dwa razy w tygodniu przetrucaliśmy dostarczone grupy przy wydatnej pomocy braci Marcinowskich, Polaków zamieszkałych na Słowacji. 6 marca w 1941 roku zostałem i ja rozszyfrowany przez szczawnickie gestapo i na długie miesiące zamknięty się za mną wrota więzienne; równocześnie ze mną zostali aresztowani koledzy Józef Hurkała i Tomasz Baran, który tego nie przeżył.

Faktem udokumentowanym przez archiwum historyczne jest, że przez nasz szczawnicki kanał 12 tysięcy żołnierzy przeszło do służby w wojsku na Zachodzie. Już pod Narwikiem został odznaczony Krzyżem Wirtuti Militari kol. Jan Majerczak „Lejawa” za likwidację dwóch bunkrów hitlerowskich, które rygowały drogę do portu „Narwik”.

Juhasi podhalańscy, zawsze wierni Ojczyźnie, jak przysłowiowi śpiący rycerze spod Giewontu, bili się na wszystkich frontach II Wojny Światowej, o czym świadczą ich mogiły rozsiane na piaskach Pustyni Libijskiej, pod Tobrukami, Monte Cassino, w ostępach leśnych okupowanego Kraju.

Nie sposób w tak krótkiej relacji ukazać wielkość poświęcenia społeczeństwa polskiego naszego regionu, a gdy już chodzi o Szczawnicę to nie ma domu, gdzie by nie opłakiwano kogoś bliskiego, zamordowanego przez siepaczy hitlerowskich. Całe rodziny zabierano i mordowano w obozach zagłady tylko za to, że nieraz odejmując sobie od ust dzieliły się z potrzebującymi pomocy. Na zawsze zapisały się w pamięci takie domy jak np. dom kol. Potaśnika — on sam został zamordowany w 1942 roku, a mimo to jego żona Michalina „Czeremcha” ryzykowała życiem przechowując nieraz i pięciu chorych i rannych partyzantów, tak z polskich oddziałów jak i radzieckich; dom Malinowskich z „Sokolicy”, dom „Wierciochów” „Biały Domek”, z którego jeden syn został zamordowany przez oślawionego Hamana w Nowym Sączu, a drugi stracił zdrowie w Oświęcimiu; dom kol. Zachwiejowej „Willa Wanda”: zabrani z niego zostali matka, córka i dwaj synowie, którzy na oczach matki zostali zamordowani w Oświęcimiu; dom Słowików spod Dzwona, którzy, gdy uciekiem z gestapo, schronili mnie u siebie i otoczyli opieką w najgorszym okresie; dom Zachwiejów na Kowalczyku, skąd syn Józef, były kapral W. P., mimo że ranny w nogę, uciekł przez granicę w lutym 1940 roku wraz ze szczawnicką kadrą narciarską, dając swym czynem młodszy braciom przykład służenia Ojczyźnie, z czego oni razem z Ojcem godnie się wywiązali; dom nieodżałowanej pamięci dr Artura Karola Wernera, który wraz z małżonką „Hanką” niósł pomoc lekarską ryzykując życiem; dom Kołaczkowski, o którym tak ciepło napisał Aleksander Stromenger w książce „Człowiek z zakalem”; wreszcie domy Tomalów, Ciesielków, Maślalskich, Słowików, Wierciochów, Jandurów, Urbanskich, Pęcaków, Marossanych, Stadnickich, Bieńków, Wyrostków, Wójcików, to domy, o których pamięć nie może zaginać.

STAROSTWO CZORSZTYŃSKIE W ŚREDNIOWIECZU



Pieniny i sąsiadujący z nimi od północy obszar należał do terenów słabo i późno zasiedlonych. Jeszcze około r. 1500 znano go tak mało, że wyobrażano sobie go jako miejsce ukrytych skarbów. Dokument fundacyjny klasztoru klarysek w Starym Sączu, wystawiony przez księżną Kunegundę w r. 1280 nie wymienia jeszcze na tym obszarze ani jednej osady. Jedynie na lewym brzegu Dunajca w Pieninach istniał w XIII w. mały zameczek, z którego do dziś zachowały się resztki. Ale nie był on ośrodkiem administracyjnym, ani gospodarczym, lecz służył za miejsce schronienia na wypadek najazdu nieprzyjacielskiego.

Zapewne najstarszą osadą w Pieninach są Sromowce Niżnie, powstałe jeszcze w końcu XIII w. Według późnej, bo zapisanej dopiero w XVI w. tradycji, kościół w Sromowcach Niżnich miał zostać ufundowany przez księżną Kunegundę, a więc przed r. 1292, rokiem jej śmierci. Jeżeli nawet ta tradycja nie byłaby prawdziwą, to powstanie Sromowiec w tym mniej więcej czasie potwierdza zachowany dokument opatki klasztoru starosądeckiego Budzisławy z r. 1323. W dokumencie tym opatka potwierdza niejakiemu Eberhardowi i jego żonie Dorocie kupno sołectwa we wsi Przekop od Mikołaja sołtysa z Abrahamdorfu na Spiszu oraz od dzieci niejakiego Szrama. Dowiadujemy się więc, że pierwotna nazwa Sromowiec brzmiała Przekop, a obecna nazwa, występująca w XV—XVI wieku w formie Szramowice, pochodzi od owego sołtysa Szrama, niewątpliwie założyciela wsi. Także starą wsią są Kluszkowce, założone w r. 1320 przez opatkę Stronislawę w lesie nad rzeką Dunajcem i potokiem Ciechorzyn.

Dobra klasztoru starosądeckiego w Pieninach odebrał król Kazimierz Wielki w początkach swego panowania, podobnie, jak odebrał większość dóbr klasztoru cystersów w Szczyrczu położonych na Podhalu, a także i innym klasztorom słabo zaludnione dobra znajdujące się na granicach państwa. Zamek Czorsztyn wymieniony został po raz pierwszy w dokumencie z r. 1359. Janko z Czarnkowa, wicekanclerz Królestwa Polskiego, pisze w swej kronice, że zamek ten został zbudowany przez Kazimierza Wielkiego. Jednak w tym samym, lub niedalekim miejscu istniał już wcześniej zamek — może drewniany — zwany Wronin, wymieniony w dokumencie z r. 1320, jako położony nad Dunajcem koło wsi Kluszkowce. Po zbudowaniu przez Kazimierza Wielkiego zamku czorsztynskiego i założeniu w r. 1348 miasta Krościenka powstało starostwo czorsztynskie. (Starostwem nazywano w dawnej Polsce zespół dóbr królewskich). W r. 1413 do starostwa tego oprócz Krościenka należały wsie Wyżnie i Niżnie Sromowce, Maniowy, Grywałd, Hałuszowa, Tylmanowa, Ochotnica Wielka i Mała, Szczawnica oraz Kluszkowce (nazywane początkowo Kłoczowicami). Należące później do starostwa czorsztynskiego Krościenka, Huba, Mizerna, Tylka, powstały w XVI—XVIII w.

Pogląd, jakoby królowa Jadwiga przyjechała do Polski z Węgier przez Czorsztyn, nie ma historycznego uzasadnienia. W tym czasie komunikacja z Węgrami odbywała się przez Nowy Sącz i dalej na południe doliną Popradu. Dopiero w I połowie XV w. staro-

stwo czorsztynskie stało się widownią ważnych wydarzeń historycznych. Owcześnie król węgierski Zygmunt, pochodzący z niemieckiej dynastii luksemburskiej, niegdyś jako mąż królowej węgierskiej Marii przeznaczony na tron polski, lecz przez Polaków, obawiających się wpływów niemieckich, za króla nie uznany, mścił się popierając Krzyżaków w ich walce przeciw Polsce. Ponieważ Węgrzy walczyć z Polakami nie chcieli, Zygmunt był zmuszony ograniczać się w swojej działalności przeciw Polsce tylko do wojny dyplomatycznej. Tylko w r. 1410, w czasie wojny z Krzyżakami najemne wojska Zygmunta, składające się z Czechów i Austriaków, omijając polskie wojska stojące pod Nowym Sączem, przeszły przez Sromowce pod Stary Sącz, i spaliły oraz złupiły to miasto wraz z sąsiednimi wsiami. Następnie w ciągu wielu lat albo w samych Pieninach toczyły się rokowania między Polską a Węgrami, albo też przez Pieniny przejeżdżały delegacje dyplomatyczne. W lutym i marcu 1412 r. toczyły się w Spiskiej Starej Wsi wstępne rokowania posłów polskich i węgierskich przygotowujące spotkanie króla Władysława Jagiełły z Zygmuntem. W I połowie sierpnia 1417 r. przejeżdżał Jagiełło przez Czorsztyn w drodze z Nowego Sącza do Nowego Targu. 14 marca 1423 Jagiełło zjechał do Czorsztyna, zaś Zygmunt do Starych Sromowiec (zapewne dzisiejsze Sromowce Niżnie). Obaj królowie spotkali się na łące koło Sromowiec, a następnie udali się na dalsze rokowania do Kieżmarku na Spiszu. 1 marca 1424 r. między Sromowcami a Starą Wsią witali przybywającego Zygmunta wraz z jego ówczesną żoną Barbarą (wnuczką Kazimierza Wielkiego), król duński Eryk, który właśnie bawił w Polsce celem zawarcia przymierza przeciw Krzyżakom, oraz Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski i Zbigniew z Brzezia marszałek Królestwa. Następnie orszak królewski wyruszył do Nowego Targu, gdzie zjedzono kołację i przenocowano i dalej do Myślenic, gdzie na gości oczekiwał król Jagiełło. W tym czasie starostą czorsztynskim był słynny rycerz Zawisza Czarny z Garbowa, pełniący ważne funkcje w polskiej dyplomacji.

26 marca 1434 przyboczni rycerze króla Jagiełły przygotowali się pod Czorsztynem przez wezbrany Dunajec i bez własnych strat rozbili obóz czeskich rycerzy-rozbojników, którzy usiłowali zagnieździć się w Pieninach.

Wreszcie 22 kwietnia 1440 przybył do Czorsztyna 15-letni wówczas król Władysław, jadący w otoczeniu panów polskich i węgierskich, aby objąć tron węgierski. Następnego dnia wyruszone do Kieżmarku. Tu, nad Dunajcem, ten syn Litwina Jagiełły i Białorusinicy Zofii pożegnał na zawsze Polskę, swoje „przyrodzone królestwo”, do którego nie miał już wrócić nigdy. Po 4 i pół latach daremnych wysiłków, aby wyprowadzić z anarchii królestwo węgierskie i obronić je przed Turkami, jako pierwszy z Polaków oddał swe młode życie na obcej ziemi za naszą i obcą wolność w bitwie stoczonyj z Turkami pod bułgarską Warną. Nazywamy go Warneńczykiem. W katedrze krakowskiej stoi jego symboliczny grobowiec (bo ciała po bitwie nie znaleziono). Składają na nim wieńce Bułgarzy i Węgrzy.



OD REDAKCJI:

„Chłopcy spod zielonych Pienin”, co ich zwą też „stowikami spod Jarmuty”, co kochają pieśń, muzykę i w baśni „staroświeckie casy”. Przedstawiamy jednego z nich: Jana Malinowskiego-Haledraka, potomka starego, szczawnickiego rodu „polowaców” i „spasio-wieszków” czyli junaków. Słynie on z pięknego śpiewu, rad wygrywa na gęslach dawne góralskie nuty i ciekawie opowiada. Oto kilka ułożonych przez niego pieśni (MSDz)

JAN MALINOWSKI-HALEDRAK (Szczawnica)

PRZYŚPIEWKI

Hej, grom jo se i śpiewom, za śpiew dołbył duse
coz mi ze wsyćkiego, kied wnet umrzyć muse

Pójdę wtedy w pola, siednę se na miedzy
zagrom se przed śmiercią, niech slysą koledzy

Kiedy wsyćka pomrzemy, do nieba pójdemy
to nos Pieter puści, bo mu grać bedemy

Moze nom hań dadzą, choć po śmierci wcas
z Gustkiem weźnę skrzypce, Kubas weźnie basy

Downiej my śpiewali, w kazdućkie wesele
dzisiok roćki kazom różaniec w kościele

Ej, zanućmy dumana, bedzie nom weselej
wystarczy nos seścif, by my ją slyseli.

Wystarczy by slysół Kubas, Miś „Spod Dzwona”
Wojtek Lejawowski, brat i moja zona.

Bo jo rod tyf chłopców, co śpiewać umieją
co śpiew i muzykę dobrze rozumieją.



JOLANTA JAROCKA-BIENIEK (Szczawnica)

MUZEUM PIENIŃSKIE W SZCZAWNICY

Zagadnieniem, któremu w ostatniej ćwierci XIX wieku poświęcono wiele uwagi, była sprawa muzeów prowincjonalnych, mających obrazować kulturę i przyrodę danego okręgu, zwanych stąd muzeami regionalnymi. Pierwszą placówką tego typu stało się Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem, utworzone w 1888 roku. Od tego momentu muzea rosły jak przysłowio-we „grzyby po deszczu”. W 1902 r. Towarzystwo Szkoły Ludowej otworzyło Muzeum Ziemi Sądeckiej, w 1907 r. to samo Towarzystwo zainicjowało Muzeum Podolskie w Tarnopolu, a w 1909 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauk otworzyło Muzeum w Przemyślu.

Odrębna specyfika kulturowa Pienin nasunęła z początkiem XX wieku miłośnikom tej Ziemi myśl o utworzeniu i na tym terenie muzeum regionalnego. Jednym z inicjatorów był Konstanty Kietlicz-Rayski, artysta malarz, bawiący w Szczawnicy dla ratowania zdrowia. Zachwycony bogactwem sztuki i zdolnościami jej twórców, propagował piórem i pędzlem ko-

nieczność zbierania ginących już wtedy dowodów kultury i sztuki tego regionu.

W 1914 r. miłośnik Ziemi Pienińskiej, pisarz i publicysta, Jan Wiktor, w jednym ze swych felietonów ponowił projekt zorganizowania muzeum w Szczawnicy. „Niestety — jak pisze — nie znalazł się nikt, kto by pomyślał o utrwaleniu i zebraniu miejscowych zabytków kultury, nikt nie pomyślał o założeniu muzeum, które mieściłoby w sobie wszystkie skarby ludu, przechowywane jako świętość pracy zbiorowej”. Lecz, mimo że tworzyły się wówczas liczne towarzystwa miłośników kultury ludowej i że sztuka ludowa zaczęła „być w modzie” do realizacji propozycji doszło dopiero dużo później.

Po drugiej wojnie światowej, kiedy pod opieką Państwa zaczęły powstawać skanseny, muzea i izby regionalne, autor „Orki na ugorze” przypomniał swój apel sprzed prawie czterdziestu lat. Wtedy to garstka górali szczawnickich, grupa zapaleńców z Michałem



Wikcia Tomala „spod papużki”, hafciarka ze Szczawnicy. (Fot. H. Zachwieja)

Słowikiem-Dzwonem, Stanisławem Dominikiem, Władysławem Malinowskim, Wojciechem Majerczakiem na czele, zajęła się gromadzeniem „regionalnych starości”.

W 1957 r. zorganizowano na terenie Szczawnicy Pieniński Oddział Towarzystwa Miłośników Kultury i Sztuki Góralskiej, który na pierwszym swym zebraniu podjął uchwałę o utworzeniu regionalnego muzeum. Bardzo istotną sprawą w tym przedsięwzięciu była lokalizacja placówki. I tu przyszedł kulturze Szczawnicy z pomocną ręką dyrektor Uzdrowiska dr Paweł Kukliński. Udostępnił on na ekspozycje kilka sal Dworca Gościnnego, zabytkowego budynku, ufundowanego przez Akademię Umiejętności w Krakowie.

Z tą chwilą dr Paweł Kukliński przejął mecenat nad załóżkiem przyszłego Muzeum. Zaczęto w Dworcu gromadzić eksponaty. „Zgłaszało się coraz więcej entuzjastów — pisze Jan Wiktor — którzy z własnej ochoty postanowili ratować to co ocalało, co jutro napewno musi zginąć. Właściwie z nicości, bez grosza,

jedynie dzięki szczawnickim góralom, bez pomocy z zewnątrz, rodziło się, bogaciło dzieło zapaleńców, rozkochanych w pięknie tych okolic, szanujących dorobek ludowej twórczości”.

W maju 1959 r. Muzeum otworzyło swoje podwoje w Dworcu Gościnnym. Od tego momentu zaczęły napływać tłumy wielbicieli kultury góralskiej i miłośników regionu. Ciężkie i pełne uznania słowa dla organizatorów i wyrazy zachwytu dla zabytków coraz częściej wypełniały kartki książki pamiątkowej. Na pierwszej jej stronie Jan Wiktor napisał takie oto słowa: „Nieznany przechodniu, wstępując w progi tego skromnego Muzeum przebaczyć wiele, a cieszyć się tym co widzisz. Pomyśl, że to w mozołe wielu godzin gromadził go wysiłek garści miłośników kultury góralskiej, którzy postanowili ratować dorobek przeszłości i dokładają wszelkich starań, aby powiększyć zbiory tym co było, tym co dzisiaj się tworzy, co jutro się urodzi na chwałę narodu. Raduj się ich zdobyciami i życz im szczęścia w muzealnych zabiegach, na tej muzułnej drodze.”

20 października 1962 r. spłonął Dworzec Gościny. Ofiarność Szczawniczian w ratowaniu zbiorów nie miała granic. Wszystkie eksponaty ocalały. Do roku 1965 Muzeum w pełni zasłużyło na przydomek Jana Wiktora „Tulacz”. Zbiory tułały się po domach prywatnych i remizach strażackich. I znów dyrektor Uzdrowiska dr Paweł Kukliński przyszedł z pomocą przyjmując eksponaty do piwnic spalonego Dworca, a następnie przeznaczając piękny, stary budynek po Restauracji Zdrojowej (którą odremontowano i adaptowano) na potrzeby muzeum. 22 lipca 1972 r. odbyła się uroczystość otwarcia Muzeum w Zdrojowej. W dwadzieścia miesięcy od tego wydarzenia otwarta została Izba pamięci po miłośniku Pienin i gorącym orędowniku Muzeum w Szczawnicy, Janie Wiktorze, który zmarł w 1967 r. Piękne zbiory J. Wiktora dotyczące kultury i życia górali są trwałym pomnikiem. Każdy eksponat mówi słowami pisarza: „Żywię największą wdzięczność dla Ziemi Szczawnickiej, drogi mi jest każdy krzew, każdy kwiat, niemal każdy liść i każde ziarnko piasku”.

W roku obecnym Muzeum Pienińskie obchodzi swoje pięciolecie, jako placówka zorganizowana pod patronatem Państwowego Przedsiębiorstwa Uzdrowisko „Szczawnica”. Zapewnia to stopniowy rozwój Muzeum. Przez pięć lat zgromadzono w Muzeum eksponaty reprezentujące całokształt tradycyjnej kultury ludowej Regionu Pienińskiego, historii Szczawnicy-Krościenka oraz pamiątki po ludziach, którzy przebywając tutaj przyczynili się do wzbogacenia kultury tej Ziemi: Janie Wiktorze, Marii Konopnickiej, K. Kietliczu-Rayskim, H. Sienkiewicz i in. W ostatnich miesiącach poszerzona została znacznie ekspozycja dotycząca historii Szczawnicy i Pienin w okresie dziejów II wojny światowej.

Muzeum prowadzi ponadto szeroko zakrojoną działalność oświatową, urządza konkursy rzeźby i haftu ludowego, organizuje lekcje muzealne dla młodzieży szkolnej i spotkania z młodzieżą, odczyty i prelekcje. Wspomnieć tu należy, że większość eksponatów Izby Pamięci Narodowej zebrała młodzież ze Szkoły Podstawowej nr 1, im. H. Sienkiewicza w Szczawnicy. Od kilku lat Związek Podhalan współpracuje z Muzeum, urządzając tu pełne uroku góralskie posiady.





REZERWATY PRZYRODY W REJONIE PIENIN

Rezerwaty przyrody są to mniejsze powierzchnie z charakterystyczną roślinnością, unikalnymi i ciekawymi drzewami, zespołami roślinnymi, charakterystyczne skały, gazy, grupy skał, względnie ciekawe i charakterystyczne formy powierzchni ziemi.

W rejonie Pienin mamy kilka bardzo ciekawych rezerwatów: Rezerwat modrzewia polskiego w Kluszkowcach, który położony jest na południowych stokach Lubania o pow. 8 ha oraz w Krośnicy na pow. 3,7 ha. Modrzew polski jako odmiana — ekotyp modrzewia europejskiego, wyodrębniony przez botanika polskiego Raciborskiego. Modrzew polski charakteryzuje się tym, że pień jego (strzała) jest szablasto wygięty; u podstawy pień jest zgrubiały o korze ciemno wiśniowej, bardzo grubej, o koronie nieregularnej, konarzystej.

Rezerwat na Dudowych Kątach w Grywałdzie. Tu oglądać możemy w odkrywcę szczątki flory plioceńskiej. Powierzchnia rezerwatu wynosi 8 ha.

Rezerwat pierwotnego lasu beskidzkiego jodłowo świerkowego możemy podziwiać na terenie wsi Mizerna. Rosną tu potężne świerki i jodły o pięknie ukształtowanych pniach i koronach. Powierzchnia rezerwatu wynosi 1,4 ha.

Rezerwat Węglarka w Krościenku. Odkrywka w kopalni gliny ze szczątkami flory plioceńskiej pokrytej żwirami tarzańskimi. W piaszczystym ile znajdują się liczne i dobrze zachowane szczątki lasu sprzed epoki lodowej.

Rezerwat — Grupa skał wapiennych nad Dunajcem, wyróżniający się bramą skalną i Zamkiem Czorszyńskim. Zachowały się tu również resztki łąk z pierwotną roślinnością. Był to pierwszy rezerwat w tym rejonie od 1921 roku i stanowił zaczątek Pienińskiego Parku Narodowego.

Rezerwat — Zielone Skalki, obecnie część Pienińskiego Parku Narodowego. Strome ściany wapienne opadające ku Dunajcowi.

Rezerwat — Grupa skał wapiennych opadających ku Dunajcowi z zamkiem na szczycie.

Rezerwat — Wąwóz Homole na północnych stokach Małych Pienin. Wąwóz o stromych ścianach z pierwotnymi zespołami roślinności naskalnej. Cały obszar rezerwatu zbudowany jest z rozmaitych skał: wapieni, zlepieńców, margli. Dno wąwozu w górnej części zasłane jest potężnymi blokami piaskowca, pokładanymi jak stopnie, a przepływający potok tworzy tu liczne kaskady. Boczne ściany wąwozu tworzą ostańce, pionowe skały, pozostałość wyższej warstwy skalnej.

Oprócz wymienionych rezerwatów najciekawszym obiektem przyrodniczym jest Pieniński Park Narodowy. Pieniński Park Narodowy charakteryzuje się tym, że na niewielkim obszarze Pienin znajduje się wiele osobliwości przyrodniczych, krajobrazowych i kultury regionalnej. Park utworzony został rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 30. 10. 1954 r. Powierzchnia Parku wynosi 2231 ha.

Unikalny krajobraz Parku, to pasmo skalic wapiennych z okresu jurajskiego i kredowego z malowniczym przełomem Dunajca. Najwyższy szczyt Pienin „Trzy Korony” o wysokości 982 m n.p.m. Roślinność o dużej różnorodności florystycznej; odznaczają się zbiorowiska naskalne i łąkowe. Osobliwością flory Pienin jest Złocien Zawadzkiego (endemit) oraz Mniszek Pieniński.

Charakterystycznymi okazami fauny Pienin są: żbik, puchacz, drozd skalny, a z motyli Niepylak Apollo.



List do redakcji „Podhalanki”

W SPRAWIE WYPASU OWIEC W TATRACH

Motto:

Władysław Szafer: „Tu jest tak, że trzeba chronić wszystko: góralskie życie, lasy, szalasy, śpiewanie, ubiory — wszystko. Szerszego spojrzenia trzeba na całą góralszczyznę.”

Leon Niedzielski: „Nas góralszczyzna nie obchodzi.”

Na przestrzeni ostatnich lat wiele czytałem w prasie o kontrowersyjnej sprawie wypasu owiec w Tatrach, ale dotychczas nie znalazłem tak trafnego ujęcia tematu, jak w tygodniku „Kultura” Nr 31 z 31. 7. 1977 r. Mimo pozorów, że chodzi tutaj głównie o zja-

wisko ekonomiczne, w artykule „Nie przedalek was Tatry” po raz pierwszy uwypuklono wyraźniej fakty o zasadniczym znaczeniu i niewspółmiernie ważniejsze od spraw materialnych. Wydaje się, że patrząc na sprawę od strony ekonomicznej, w ogólnonarodowej gospodarce tak drobna sprawa, jak wypas paru tysięcy owiec, czy dobrowolny wykup prawa własności za kilkadziesiąt milionów złotych, powinna pozostać przez społeczeństwo polskie nie zauważoną, albo co najwyżej uznana za mniej czy więcej udaną sprawę lokalną. Dzieje się jednak wręcz coś przeciwnego. Dyskusje nie kończą się, środki masowego przekazu nie milkną, problem przybiera na sile, krąg zainteresowanych sprawą rozszerza się i coraz lepiej widać, że nie chodzi w tym wypadku ani o dobrowolny wy-

kup, ani trawę dla kilku tysięcy owiec, lecz o coś zupełnie innego.

Zarówno Tatry w sensie geograficznym, jak i kultura w nich powstała w sensie etnograficznym, są równorzędnymi bogactwami narodowymi i stanowią przedmiot powszechnego zainteresowania całego społeczeństwa. Jedno z tych bogactw zostało przekreślone i ludzie zaczynają się pytać, jak to się stało, na ile świadomie i na ile słusznie.

Szukając odpowiedzi na te wątpliwości spotykamy się z opinią wśród zwolenników likwidacji wypasu, że owce niszczą Tatry i przez to robią szkodę. Obok tej, znajdujemy inną grupę — też poważną — która dowodzi, że owce rzeczywiście robią szkodę, ale tylko w wypadku złej gospodarki, natomiast w wypadku prawidłowej, dobrej gospodarki, wypas w Tatrach jest korzystny dla ich biologii, nie mówiąc już o dodatkowej korzyści w postaci mleka i wełny. Mamy przed sobą dwie przeciwstawne opinie i żadna z nich nie uzyskała jednoznacznego uznania, a cała sprawa ciągle budzi wątpliwości.

W przeciwieństwie do tego nigdy nie rozpatrywano tak szczegółowo i poważnie szkód kulturowych, związanych z likwidacją wypasu, dlatego po dziś dzień społeczeństwu nie jest znana wielkość tych szkód. I chociaż często ujmuje się je w sposób naiwny czy sentymentalny, ot jako żal za „urokiem dzwoneczków na hali”, to jednak za tym kryje się zawsze obawa przed utratą czegoś istotnego. Ludzie niejednokrotnie nie zdają sobie sprawy, że na hali tatrzańskiej kształtowała się postawa człowieka, jego stosunek do przyrody, ludzi i zwierząt, powstawał swoisty sposób życia, który powszechnie udzielał się każdej wsi podhalańskiej, rodziła się jakaś kultura, ale intuicyjnie wy-

czuwają, że tu musiało się dziać coś wielkiego i coś ważnego. — Ta sprawa już nie budzi wątpliwości, jest powszechnie przyjęta.

Są tacy, którym bliski wydaje się czas, kiedy — jak to mówiła jedna z pracownic dyrekcji TPN — „nie będą śmierdzić góralskie portki w Tatrach” i dlatego zapewne nie liczą się oni ze stratami moralnymi, jakie wynikają ze sprzeniewierzenia się tym wybitnym uczonym, którzy kiedyś, w okresie tworzenia TPN, swoim wysokim autorytetem dawali prostym ludziom inne zapewnienia i inne gwarancje (motto), a także z reakcją tychże prostych ludzi, którzy w następstwie dotychczasowego, bezwzględniego postępowania w myśl zasady „nas góralszczyzna nie obchodzi” nabywali prawo do poczucia krzywdy i negatywnych postaw. Nie dość na tym, bo jeszcze odpowiedzialność za to przed społeczeństwem polskim i historią już dziś chce się zepchnąć na samych górali przez obłudne interpretowanie formuły „dobrowolnego wywłaszczenia”, jakby nikt nie wiedział o trudnościach na tej drodze, łącznie ze skargami i karami. — Są to fakty, o których wnet zapomnieć się nie da.

Akceptując w pełni pogląd red. Michała Mońko na konieczność przywrócenia wypasu owiec w Tatrach, należałoby nie ograniczać go do Doliny Chochołowskiej, lecz rozciągnąć na inne hale w Tatrach, jako na podstawę kultury podhalańskiej i całą sprawę wyważyć według zasad, o których mówił prof. W. Szafer, a nie tych, które obrał w swym postępowaniu dyrektor TPN inż. L. Niedzielski.

Stanisław Bafia
(Zakopane)



SPŁYW PRZEŁOMEM DUNAJCA PRZEZ PIENINY



Spływ pienięski wodami Dunajca swymi tradycjami sięga pierwszej połowy XIX wieku. Jest to atrakcja turystyczna na skalę międzynarodową, stanowiąca m. in. część trasy Międzynarodowego Spływu Kajakowego na Dunajcu, największej imprezy tego typu na świecie.

Emocje wodnej podróży, zmieniająca się sceneria skalnych ścian i wspaniałych widoków to niezapomniana przygoda. Rocznie ze Spływu korzysta przeszło 250 tys. osób.

Z uwagi na rozpoczęte prace przy budowie zapory wodnej w Czorsztynie, Spływ Przełomem Dunajca rozpoczyna się w miejscowości Sromowce Wyżne — Kąty, z zakończeniem w Szczawnicy.

Spływ w zależności od stanu wody trwa średnio 2,5 do 3 godz. Zapraszamy na Spływ od maja do końca września, a przy dobrych warunkach atmosferycznych od kwietnia do późnej jesieni. W miesiącach od kwietnia do sierpnia Spływ odbywa się w godz. od 8 do 16, zaś w miesiącach wrzesień i październik w godz. od 9 do 13.

Zamówienia na spływ prosimy kierować bezpośrednio na adres:

— Ekspozytura WPGT Oddział „Podhale”, Czorsztyn Skrzyżowanie 12, tel. 227, tlx 0322763
lub przy imprezach na adres:

— WPGT Oddział „Podhale” Nowy Targ, ul. Manifestu Lipcowego 2, tel. 29-64, centrala 38-18, 38-19, tlx 0325454.

Dla turystów indywidualnych prowadzona jest sprzedaż miejscówek tylko w danym dniu. Sprzedaż biletów odbywa się w pełnych kompletach po 10 osób lub 4 dzieci i 8 dorosłych osób.

Dojazd do Przystani Spływu

Z Nowego Targu drogą w kierunku Szczawnicy przez miejscowości: Dębno Podhalańskie, Hubę i dalej wzdłuż przyszłego zbiornika przez wsie: Nowe Maniowy, Mizerną i Przełęcz Snokę do miejscowości Krośnica, gdzie skręcamy w prawo do miejscowości Sromowce Wyżne—Kąty (nowa droga pienięska). Dojazd z kierunku Nowego Sącza i Szczawnicy przez Krościenko do miejscowości Krośnica, gdzie skręcamy w lewo (dalej, jak z Nowego Targu).

Dojazd autobusami PKS

Z Nowego Targu — trasa Nowy Targ — Sromowce Niżne
Ze Szczawnicy — trasa Szczawnica — Sromowce Wyżne

Przystań flisacka Sromowce Wyżne — Kąty

Tel. 677, posiada: kasy biletowe czynne w godz. 8—16, kasę walutową, punkt informacji turystycznej, restaurację—bar „Pod Trzema Koronami” i małą gastronomię, kiosk z pamiątkami, obok przystani parking strzeżony.

Dla turystów indywidualnych (zmotoryzowanych) istnieje możliwość powrotu ze Szczawnicy na Przystań w Sromowcach o oznaczonej godzinie. Bilet powrotny należy wykupić bezpośrednio w kasie spływu na przystani flisackiej w Sromowcach Kątach.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo
Gospodarki Turystycznej „Podhale” w Nowym Targu

STANISŁAW JAGIEŁO (Sromowce Niżne)

U Z O L E N I E

Hej ty z krzyczem na łąsinie
Giewontowy dziadu
Kora bosko cie nie minie
Ześ mi śniega nadu!
Nie trza było śnieg ostawić
Do swojej dziedziny
A nie ciskać nim daleko
Jaze tu w Pieniny?
Tak wymyśło Giewontowi
Dunajecka woda
Bo do zimy nie przywykła
A lata jej skoda.
Skoda lata skoda słonka
Kiej wysoko chodzi
A najbardziej to jej skoda
Tych flisackich łodzi.
Ale cekoj pozałujes
Stary grzibie powałony
Niek ta ino lato przydzie
Wszyscy pójdą w Trzy Korony.
Kozdy łódką pomknie w przelom
Jaze pod Szczawnicę
A przy tobie pozostaną
orły i kozice.



Jasiek Szczepaniak-Maciej, najstarszy krawiec regionu pienińskiego. Szczawnica.
(Fot. H. Zachwieja)

RAKOSIOWE DŹWIERZE

Do Zachwieji, scownickiego gazdy „Spod Raka”, przyłoz taki se gizłoc, żeby go przyjął na zlotki, na zimowisko wiecie. Było to chłopcycko skądś z Przy-słopu, smarkate bo smarkate. Miał coś ze śternościę roków, cienki był jak piscolka, a wysoki jak subielijo. Ułapił Rakosia — bo tak gazdę przezywali — za kola-na i pyto sie:

— Gazdusiu, przygarnijciez mnie na zlotki, jako parobka na służbę zimową.

— A na lato pódzies skąd ześ przyłoz. Moze sie pódzies paś, jak odchowany hocior? — odgodoł Rakoś.

— E, latoś to sie ta jakosi wyzyje. Rybkę sie ulapi, sępie jojka, abo piskłeta udusi, grzybka sie na bryle upiece, a na przeklasy, jagody, maliny, borówki ... Lato nie do ani ciekę ani zwierzu zmarnieć.

— I nie robi sie, jeno lechmani! — dokończył gazda — wynoś sie psioduso legučko!

Ale zimowy służący zaczął całować po rękowach gazdę, obłapiać za nogi gazdzinę, pytać, płakać, jaz zmękło sie serce Rakosice i zaorędowała za nie.

— Przygarnij Jasiu tego biedocka na zimę — pyto chłopca.

— No, mało mamy gębów do zarcio, to jesse jedna przylezie!

— Dzie sie dziewięć pozywi, to i dziesiąto nie umar-nie z głodu — tłumacuje litosierno Kaśka.

— No dy jak hej, to niech będzie hej — przygodził sie. Ale coz bedzies mój synu robił bez zimę, jak do-mowi nie mają co.

— E, bede gazdusiu kręcił sie po izbie, bede jodł, społ za piece. Zawse robota będzie.

— I sr... za stodołą — przyheknął gazda.

Tak tyz i robił. Do miski był pierwszy. Zza pieca jak wstół, to sie uprzeciągół, uziajoł i nawrócił nazod. Nawet wody w konewce, abo naręce drzewa nie chciało mu sie przynieść, jak go gazdzina pytała.

— Banuś, przynieś ze koziołek pod piec — godo Rakoska. Ale Banuś nie słysy. Udaje ze chrapie. Trza go było posturchać, żeby wstół. A on kiedy niekiedy, zakła sie poprzeciągół, udropoł, uziajoł, to gazdzine more wzięło ze złości i sama przyniesła.

Do pocierza tyz go trza było pytać, ale tu juz gaz-dowa palica go poganiała:

— Ty złokrew piono, nawet ci sie gębą nie chce porusać, żeby pocierka odklepać!

— Bo silone pocierze nie idą do nieba, gazdusiu! I tak schodziła zima, zlotki sie kończyi, przesed Jędwiąt, Gody, nastoł mięsopust.

— Gazdzinko, teraz to se omascemy krztonie — za-godoł Rakoskę, która mu ta nie zawidziała mięsopu-stowe omasty.

— Niechze sie ta chodacyna pokrzepi, to mu będzie lepiej.

To sie tyz krzepił, az sie gruska za stodołą cieszyła.

Krótki mięsopust, to raj dlo bryćkich dziewczek, bo parobcy nie mają casu przebierać. Łapus capus — biera pierwszą lepszą z kraja, bo post za dźwierzami. Wes-lisk było pora. Śnieg jesse sie bielił jak aniele

skrzydła, to tyz do ślubu jechali na słonkach z mu-zyką i ze zbyrceniem śpizyków uwiązanych u dyśla. Pani młode wiezły na rzesądku kołoce i rzucały dzie-ciom i tym co wystawiali ręce.

— Banek, dzisiok u Kupcycki wesele, trza ci będzie przypilnować, to złapnies od pani młode kawoł kołoca — godo gazda leżącemu za piecem piecuchowi. Ten sie porusoł na zapiecku jak kocur, jeno stryzocek zasuściół. I odrzekł:

— Dobrze, barz dobrze, a juz jadą?

— Jesce nie.

— No to mnie obudzicie, jak pojedą — przewrócił sie na drugi bok i coś pomrucoł, jakby godoł:

— Pilnujciez gazdo, boście od tego...

— Złodusa piono! — zaseredził Rakoś i posed do stajnie oporządzić stadek, a Jętkowi najstarszemu pa-robkowi kazoł wyrzucić gnój z owcarnie.

— Jeno pomału, nie wściekaj sie, żeby owce nie pomietaly — przykosoł gazdowski przykozanie.

— Jętek wypuścił owce na pole, te liza śnieg, on gwizdo i smyro gnojem na kupe. A tu ci naroz za-zwoniły śpizyki i dały znać, ze weselisko jedzie. Jętek rzucił drewniane widły, skocył do izby i krzyknął nad chrapiącym:

— Banek, wstawoj! Wesele jedzie! Bedzie kołoc!

Banek w spaniu poddyrgnął sie ze stryzoła, skocył do dźwierzy ftoze były niskie i lup łepą o ocap, jaz go odbilo na zod i gruchnął na forzty niby bez zycio. W izbie zrobilo sie gwarne, helota pcho sie do okna żeby widzieć wesele, a Rakoska krzesi zabitego... Trze go poza usy, leje wodą i woło na starego:

— Chyboj ze Jasiok, bo sie nom Banuś zabił!

Przysed Rakoś i na silę okrzesał zabitego, a kied ten przysed do sie, to sie pyto gazda:

— Banuś, dobry pani młode kołoc?

— O, gazdusiu, cy jo sie naprowde zabił, cy jeno tak na śpas?

— Na śpas ześ sie zabił, a jo cie naprowde okrze-sił. A jak ci ta kołoc smakowół?

— Nie było kołoca, jeno łeb rozbity, ej rety, prze-rety!...

— Bo bez pracy, to nie ma kołocy, a za piecem to sie je nie wylezy — przykazuje gazda.

— Oj, boli mnie gazdusiu, boli — glosko sie po-glowie.

— Jak boli, to nie świędzi. A ftoz ci kozoł howiedo łeb rozwalić? Nie chciołes przed obrozami łeb pochylić żeby sie pomodlić, no to cie naumiaty dźwierze. Jeno seście, ześ mi chałupy nie rozwalił. Za to idź za piec i lez, jak ci tak dobrze.

No i lezoł do wiosny. Nawet se kozoł zryć podawać, bo chory skroś Rakowskich dźwierzy. A kiej skowronek zaćwierkoł nad obeschniętym polem, żeby sie brać do roboty, wyłoz Banuś zza pieca i polozył, skąd przysed. Żeby nie robić nic, jeno rybki łapać, jojka ptos-kom podbierać, młode sępy piec, malinami sie przekla-sować, bo w lecie jesse nifto z głodu nie umarł. Na-wet Rakosia nie po „Dógzapłacówo!” za zimowe zlotki...



XVII Sejm Związku Podhalan w Północnej Ameryce

W dniach 2—4 września 1978 r. odbył się w Chicago XVII Sejm Związku Podhalan w Północnej Ameryce z udziałem 143 delegatów reprezentujących blisko 30 Kół Związku z Chicago i z innych Stanów. Tradycyjnym zwyczajem w pierwszym dniu Sejmu odbyła się część robocza, poświęcona sprawom organizacyjnym, w drugim dniu, w niedzielę, w polonijnym kościele Pięciu Braci Męczenników miało miejsce uroczyste nabożeństwo odprawione przez ks. biskupa Alfreda Abramowicza, po czym ulicami miasta przeszli pochód uczestników Sejmu w strojach góralskich do Domu Podhalańskiego, gdzie odbywały się obrady. Tego samego dnia wieczorem odbył się tradycyjny bankiet sejmowy w Kasynie Woźniaka, na którym przemawiali przedstawiciele czołowych organizacji polonijnych, w tym kongresmani Jan Fary i biskup Abramowicz. W ostatnim dniu Sejmu odbyły się wybory nowych władz Związku.

Na Sejmie była obecna oficjalna delegacja Związku Podhalan z Polski w osobach prezesa Zarządu Głównego mgr Jerzego Ustupskiego i prezesa Oddziału Zw. Podhalan w Nowym Targu, inż. Józefa Staszla, którzy wystąpili w strojach góralskich. Obecny również był znany dziennikarz podhalański, Józef Kamiński z Zakopanego. Delegacja przekazała Związkowi Podhalan w Północnej Ameryce piękny kilim z napisem „Podhalanom — Podhalanie”.

Otwarcia Sejmu dokonał prezes ustępującego Zarządu Głównego ZPPA, Józef Króźel, a przewodniczył

obradom dr Andrzej Ciszek. Kazanie w czasie nabożeństwa sejmowego wygłosił kapelan ZPPA, ks. Tadeusz Wincenciak, on też przewodniczył uroczystemu bankietowi, w czasie którego wystąpił zespół młodzieżowy „Hyryni” pod przewodnictwem W. Bzdyka i S. Kubańskiego.

Nowe władze Związku Podhalan w Północnej Ameryce, wybrane na okres kadencji 1978—1981, ukształtowały się następująco:

Prezesem Zarządu Głównego został Józef Gil (dotychczasowy wiceprezes i prezes Koła „Harkłowa”), wiceprezesami dr. Andrzej Ciszek i Janina Duda, wiceprezesem na Stany Jan Gromada, wiceprezeską na Stan Pensylwania Antonina Ciszek, sekretarką generalną Helena Trunko, sekretarzem finansowym Adam Peleński, skarbnikiem Helena Augustyn, marszałkiem Józef Kowalkowski, chorążymi Marek Gąsienica, Feliks Leśnicki i Tadeusz Tomecki. Kapelanem ZPPA został ponownie wybrany ks. Tadeusz Wincenciak.

Ponadto została wybrana dyrekcja ZPPA, w skład której weszło ponad dwudziestu przedstawicieli poszczególnych Kół Związku.

Nowym Władzom bratniego Związku Podhalan w Północnej Ameryce „Podhalanka” przesyła serdeczne pozdrowienia i życzenia jak największych sukcesów w pracy dla dobra ruchu podhalańskiego na ziemi amerykańskiej.



MACIEJ PINKWART (Zakopane)

Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego

1 października 1977 roku, w Międzynarodowym Dniu Muzyki, w Muzeum Karola Szymanowskiego „Atma” odbył się zjazd założycielski Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego z siedzibą w Zakopanem.

Celem Towarzystwa jest propagowanie muzyki Karola Szymanowskiego i szerzenie wiedzy o kompozytorze, popularyzacja muzyki z kręgu Tatr i Podhala oraz rozwijanie jak najszerzej pojętej kultury muzycznej wśród społeczeństwa, przede wszystkim na terenie Podhala. Te właśnie idee ożywiały działalność dwóch wielkich muzyków, którzy trwale związali się z Zakopanem — Mieczysława Karłowicza i Karola Szymanowskiego.

Cel swój Towarzystwo zamierza osiągnąć przez organizację festiwalu i koncertów oraz konkursów kompozytorskich i wykonawczych im. Szymanowskiego, podejmowanie akcji popularyzatorskich, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży, a także różnego typu działania, zmierzające do uczynienia z Zakopanego ważnego punktu na mapie muzycznej Polski.

Towarzystwo nakłada na swoich członków obowiązek czynnego uczestniczenia w życiu muzycznym Zakopanego, a Zarząd Towarzystwa będzie dokonywał rocznych ocen poziomu artystycznego imprez muzycznych organizowanych na terenie naszego miasta.

Towarzystwo może zakładać oddziały w innych miastach Polski. Członkiem rzeczywistym Towarzystwa może zostać po ukończeniu 16-tego roku życia każdy, komu bliskie są muzyka i Tatry i kto złoży odpowiednią deklarację, popartą przez dwóch członków rzeczywistych Towarzystwa.

Członkami wspierającymi mogą być osoby fizyczne i osoby prywatne. Tymczasową siedzibą Towarzystwa jest Muzeum Karola Szymanowskiego „Atma” w Zakopanem, ul. Kasprusie 19.

Członkami — założycielami Towarzystwa są: Andrzej Bachleda, Tadeusz Baird, Tadeusz Chruścicki, Teresa Chylińska, Henryk Czyż, Kaja Danczowska, Krystyna Dąbrowską, Lidia Długolecka, Irena Dubiska, Jan Ekier, Win-

centy Galica, Olga Garbicz-Kulikowska, Wacław Geiger, Tomasz Gluziński, Henryk Mikołaj Górecki, Leonia Gradstein, Bogdan Jankowski, Anna Juchniewicz, Jerzy Katlewicz, Wojciech Kilar, Kazimierz Kord, Feliks Kowalewski, Marta Kreft, Irena Lorentowicz, Witold Lutosławski, Ludwik Kurkiewicz, Karol Małcużyński, Kornel Michałowski, Jerzy Młodziejowski, Jan Pasierb-Orland, Ewa Pawlik-Zmudzińska, Piotr Perkowski, Maciej Pinkwart, Zofia Radwańska-Paryska, Zbigniew Rogowski, Witold Rowicki, Zdzisław Sierpiński, Władysław Słowiński, Jan Stępień, Jan Stęszewski, Stefan Sutkowski, Bolesław Szabelski, Krystyna Szczepańska, Stefan Sledziński, Mieczysław Tomaszewski, Eugenia Umińska, Jerzy Waldorff, Arkadiusz Waloch, Konstanty Wegrzyn, Wanda Wilkomirska, Stanisław Wisłocki, Stefania Woytowicz, Krzysztof Zanussi, Ewa Zaufal, Tadeusz Żmudziński, Stanisław Zygado.

Na zeździe założycielskim dokonano wyboru władz Towarzystwa. W skład Zarządu Głównego weszli: Andrzej Bachleda — prezes, Wojciech Kilar i Witold Rowicki — wiceprezi, Lidia Długolecka — sekretarz, Zbigniew Rogowski — skarbnik, Anna Juchniewicz — zastępca sekretarza oraz członkowie: Teresa Chylińska, Henryk Mikołaj Górecki, Maciej Pinkwart i Tadeusz Żmudziński.

Główną komię rewizyjną tworzą: Arkadiusz Waloch — przewodniczący oraz członkowie: Wacław Geiger i Ewa Zaufal.

W skład Głównego Sądu Koleżeńskiego weszli: Feliks Kowalewski, Eugenia Umińska i Stefania Woytowicz.

Tyle oficjalny komunikat, przyjęty przez członków Towarzystwa. Niektóre jego sformułowania wymagają szerszego omówienia.

Towarzystwo powołane z inicjatywy Muzeum „Atma” i zakopiańskiego koła Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków tworzy bazę społeczną i materialną dla realizacji podstawowych celów obydwu placówek — popularyzacji muzyki Szymanowskiego i rozwijania kultury muzycznej na Podhalu. Towarzystwo ma charakter ogólnopolski — działa jednocześnie przede wszystkim na Podhalu.

Pod egidą Towarzystwa odbywać się mają dwa festiwale. Pierwszy z nich, to zapoczątkowane w roku 1977 Dni Muzyki Karola Szymanowskiego — impreza prezentująca utwory Karola z „Atmy” w wykonaniu najlepszych muzyków podczas kilku koncertów kameralnych i symfonicznych. Dni Muzyki Karola Szymanowskiego odbywać się będą w pierwszej połowie marca w Zakopanem. Druga większa impreza — to projektowane Biennale Muzyki Gór. Festiwal ten, który chcielibyśmy organizować wspólnie ze środowiskiem muzycznym Słowacji, na przemian w Zakopanem i Smokovcu — prezentowałby utwory powstałe pod wpływem folkloru góralskiego, lub też inspirowane przyrodą Tatr. W Polsce muzykę taką tworzyli m. in. Władysław Żeleński, Zygmunt Noskowski, Mieczysław Karłowicz, Karol Szymanowski, Jan Adam

Maklakiewicz, Artur Malawski, Wawrzyniec Żuławski — a także kompozytorzy współcześni: Jerzy Młodziejowski, Jan Ekier, Wojciech Kilar.

Jednym z celów Towarzystwa jest inspirowanie przenikania folkloru góralskiego i impresji przyrody tatrzańskiej do współczesnej muzyki polskiej. Służyć temu będzie organizowany co dwa lata konkurs kompozytorski imienia Szymanowskiego. Z myślą o zachęceniu młodych twórców muzyki do podjęcia tego rodzaju tematyki chcielibyśmy — wspólnie ze Związkiem Podhalań — organizować na Podhalu plenery kompozytorskie, na których członkowie koła młodych Związku Kompozytorów Polskich i studenci Wyższych Szkół Muzycznych mogliby zapoznać się z prawdziwym obrazem współczesnego Podhala.

Popularyzacji muzyki Karola Szymanowskiego służyć będą także konkursy wykonawcze jego muzyki: fortepianowy, skrzypcowy i wokalistyczny.

Towarzystwo zorganizuje bibliotekę muzyczną i fonotekę dzieł kompozytorów związanych z górami. Przy współdziałaniu ze Związkiem Podhalań zajmować się będzie także dokumentacją działalności muzycznej na Podhalu — w tym dokumentacją życia i działalności muzyków góralskich.

W dziedzinie spraw folklorystycznych żywo interesuje nas sprawa stworzenia muzeum instrumentów ludowych — sądzimy, że tego rodzaju placówka powstanie i będzie działać pod kierunkiem Muzeum Tatrzańskiego.

Następną sprawą godną zasygnalizowania jest konieczność otoczenia opieką miejsc związanych z działalnością na Podhalu dwóch wielkich kompozytorów polskich — Mieczysława Karłowicza i Karola Szymanowskiego. Uważamy, iż należy zastanowić się nad wykupieniem willi „Lutnia”, w której Karłowicz spędził ostatnie dwa lata życia. Po utworzeniu tam izby pamięci kompozytora — willa winna stać się Domem Muzyka, być może pod patronatem Związku Kompozytorów Polskich. Smutkiem napawa również obecny stan willi „Limba”, gdzie Karol Szymanowski pisał „Harnasie” i „pobierał korepetycje” góralszczyzny od Bartusia Obrochty, gdzie spędził wiele miesięcy w latach 1922—1927. Dom ten, zapomniany i zaniedbany, wymaga także troskliwej opieki.

Wreszcie sprawa oczywista, którą — jednak w tym miejscu podkreślić należy: Towarzystwo dążyć będzie do podniesienia kultury muzycznej na Podhalu Organizacją koncertów muzyki poważnej, konkursy wiedzy muzycznej dla młodzieży, Klub Dobrej Płyty, utworzenie przedszkola muzycznego i dziesięcioletniej ogólnokształcącej szkoły muzycznej — wszystko to, realizowane nie od razu, a z wieloletnią perspektywą, służyć ma wytworzeniu przekonania, iż — muzyka jako jeden z najważniejszych elementów kultury narodowej — jest człowiekowi niezbędna. A Towarzystwo będzie te potrzeby zaspokajać.



Kronika Związku Podhalan

(za okres od 1. XI. 1976 r. do 14. I. 1979 r.)

Okres dzielący nas od wydania Podhalanki Orawskiej obfitował w ważne dla Związku wydarzenia.

Obchody 400-lecia Zakopanego, szereg jubileuszy wybitnych naszych działaczy, wreszcie zbliżający się Jubileusz 50-lecia istnienia i działalności Związku Podhalan w Północnej Ameryce, wpłynęły na wyjątkowe ożywienie w naszej Organizacji.

— 23. XI. 1976 r. gościem Związku Podhalan w świetlicy „Swarna” był wiceminister Kultury i Sztuki M. Wojtczak w towarzystwie wojewody nowosądeckiego Lecha Bafii i I sekretarza KM PZPR Stefana Gustka. Żywo dyskutowano na tematy kultury regionalnej na Podhalu. Program zamierzeń w zakresie rozwoju kultury na terenie Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej przedstawił m. in. kierownik Wydziału Kultury Urzędu Miasta, dyrektor Muzeum Tatrzańskiego i prezes Związku Podhalan.

Rok 1977

— 24. I. udział przedstawicieli Związku Podhalan w spotkaniu działaczy kultury wojew. nowosądeckiego w Ratuszu w Nowym Sączu z egzekutywą Komitetu Wojew. PZPR, a 27. I. w Plenum Komitetu Wojew. PZPR w Nowym Sączu poświęconemu programowi rozwoju kultury do roku 1980.

— 12. IV. Prezydium oraz szereg wybitnych działaczy Związku uczestniczyło w akademii zorganizowanej z okazji Jubileuszu 80-rocznicy urodzin członka honorowego Związku Podhalan, wybitnego działacza społecznego na Spiszu — Jana Plucińskiego.

— 18. V. Na wyjazdowym Prezydium w Szczawnicy nastąpiło spotkanie z zasłużonym członkiem Związku Michałem Słowikiem Dzwonem, który za swoją twórczość poetycką otrzymał w roku 1976 nagrodę im. Jana Pocka.

— 7. VI. W Bukowinie Tatrzańskiej na wyjazdowym spotkaniu z Prezydium Rady Regionalnej Stowarzyszeń Kulturalnych, któremu przewodniczył prezes Kazimierz Węglarski, omówiono szczegółowo działalność miejscowego Oddziału i współpracę z innymi Oddziałami Związku. Omówiono również działalność tamt. teatru ludowego i konieczność wymiany w tym zakresie, pomiędzy innymi Oddziałami.

Sezon letni, podobnie jak w roku 1976, ożywiony był częstymi odwiedzinami Polonii amerykańskiej i przedstawicieli Związku Podhalan z Póln. Ameryki. M. in. doszło do spotkania w świetlicy „Swarna” z prezesem Fundacji Kościuszkowskiej w Stanach Zjednoczonych prof. dr Eugeniuszem Kusielewiczem z żoną. W spotkaniu tym uczestniczyło Prezydium Związku. Prezes Kusielewicz interesował się żywo sprawami Związku Podhalan, współpracę ze Związkiem Podhalan w Ameryce Północnej, jak również działalnością twórców ludowych. Spotkanie upłynęło w serdecznej atmosferze przy dźwiękach kapeli góralskiej.

Kilka dni później Prezydium spotkało się w „Swarnej” z prezesem Związku Podhalan Północnej Ameryki, Józefem Króźlem, oraz wybitną działaczką Teresą Gardner. Przedmiotem spotkania były sprawy związane ze zbliżającym się Jubileuszem 50-lecia istnienia i działalności Związku Podhalan w Póln. Ameryce, przypadającym na rok 1979. Podczas spotkania, w którym uczestniczył również prezes Stow. Twórców Ludowych Bronisław Cukier, prezes Józef Króźel wręczył legitymacje członka honorowego Koła im. Władysława Orkana Związku Podhalan w Ameryce P. Otrzymali je: mgr Jerzy Ustupski, dr Wincenty Galica, dr Stanisław Bafia, red. Włodzimierz Wnuk, mgr Tadeusz Staich, Bronisław Cukier i Józef Kamiński.

Prezydium nawiązało kontakt z muzeum Karola Szymanowskiego, włączając się do programu uroczystości związanych z twórczością kompozytora.

W listopadzie odbyło się w Zakopanem wyjazdowe posiedzenie Naukowego Zespołu Doradczego przy Ministrze Kultury i Sztuki do spraw skansenowych. W obradach tego Zespołu, z ramienia Związku, wzięli udział: mgr Tadeusz

Staich, mgr Władysław Pęksa i mgr Jerzy Ustupski. Z ramienia Stow. Twórców Ludowych wiceprezes Mieczysław Biernacki. Zwiedzono i zakwalifikowano następujące obiekty: Polanę Białą Potok, Chochołów, będący w renowacji dwór w Łopusznej, Polanę pod Okólnem z jej zabytkowymi szalansami. Następnie odbyła się konferencja, podczas której referat programowy wygłosił członek Prezydium Związku Podhalan, dyrektor Muzeum Tatrzańskiego mgr Tadeusz Szczepanek, Członkowie Zespołu wyrazili uznanie dyr. Szczepankowi za dotychczasowe wyniki i w całości zaakceptowali przedstawiony do realizacji program.

Pod koniec listopada odbyło się w Muzeum Tatrzańskim posiedzenie Podhalańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk z udziałem Członków Związku Podhalan. Z ramienia Związku w skład prezydium wchodził prof. inż. Stefan Żychoń, a jako członkowie współpracujący mgr Tadeusz Staich i mgr Jerzy Ustupski. Na pierwszym posiedzeniu uchwalono, że nakładem Towarzystwa Naukowego wydane zostaną materiały naukowe z XXXI Zjazdu Podhalan w Ludźmierzu, zawarte w wygłoszonych referatach. Materiały te zostały wydrukowane i zainteresowani mogą je otrzymać w biurze Związku Podhalan.

8 grudnia Związek zorganizował akademię z okazji 70-tej rocznicy urodzin, 50-lecia gawędziarstwa i 30-lecia twórczości poetyckiej honorowego członka Związku Podhalan — Adama Pacha. Akademia była dużym wydarzeniem w życiu kulturalnym Zakopanego; wzięli w niej udział przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych województwa i miasta, organizacje społeczne i młodzież. Na zakończenie odbyły się posady góralskie w „Białej Izbie” u Adama Pacha, podczas których toast wniósł wojewoda nowosądecki Lech Bafia i udekorował Jubilata złotą odznaką za zasługi dla województwa nowosądeckiego.

Rok 1978

W dniu 1 Maja podczas uroczystej akademii, Zarząd Główny Związku Podhalan otrzymał od Władz miasta Zakopanego dyplom i odznakę „Zasłużony dla Zakopanego”, a podczas uroczystej sesji Miejskiej Rady Narodowej w Zakopanem, z okazji Święta Pracy, Związek otrzymał Medal 400-lecia Zakopanego wraz z odnośnymi dokumentami.

Zarząd Główny współpracuje z następującymi organizacjami społecznymi: Radą Regionalnych Stowarzyszeń Kulturalnych wojew. nowosądeckiego, Stowarzyszeniem Twórców Ludowych, Muzeum Tatrzańskim, Muzeum Karola Szymanowskiego, Podhalańskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk oraz Wojewódzką Radą d/s Upowszechniania Kultury.

Kontakty zagraniczne

Dużym wydarzeniem w życiu organizacyjnym był wyjazd delegacji naszego Związku do USA. Była to pierwsza oficjalna paruosobowa delegacja z Polski, uczestnicząca w obradach XVII Sejmu Związku Podhalan w Póln. Ameryce. Delegacja spotkała się z niezwykle serdecznym przyjęciem ze strony organizatorów i brała żywy udział w pracach Sejmu. Wizyta ta niewątpliwie zapoczątkuje nowy etap w rozwoju i współpracy pomiędzy dwoma bratnimi organizacjami żyjącymi i działającymi w odmiennych ustrojach polityczno-gospodarczych. Delegacja nasza przyjęta była również serdecznie przez konsula PRL w Chicago, łącznie z przedstawicielami tamtejszego Zarządu.

W ramach wymiany kulturalnej, w okresie sprawozdawczym, zespoły regionalne naszych Oddziałów dały koncerty w następujących krajach:

Zespoły Oddziału Zakopane: „Klimki” w roku 1977 we Francji, w 1978 w NRD i dwukrotnie na Węgrzech.

„Bratusia Obrochty” w roku 1978 w Jugosławii.

Zespół Oddziału w Bukowinie Tatrzańskiej „Wierchowianie” w roku 1977 koncertował w Anglii.

Zespół Oddziału w Czarnym Dunajcu „Juhasi” w roku 1977 w NRD i w 1978 w Czechosłowacji.

Działalność Oddziałów

Z uwagi na ogromny materiał związany z działalnością Oddziałów, ograniczyć się do krótkiej charakterystyki, natomiast szczegółowe materiały opublikowane zostaną w osobnym wydaniu.

Wykrystalizował się już profil działalności poszczególnych Oddziałów. Oczywiście nie wszystkie mają jednakowe warunki środowiskowe do działalności.

W Bukowinie Tatrzańskiej Oddział jest rok rocznie współorganizatorem szeroko znanych imprez „Sabałowe Bajania” i „Karnawał Góralski”.

Dla Oddziału w Chocholowie szandarową imprezą jest rocznica Powstania Chocholowskiego, obchodzona uroczystie przy licznych udziale starszyny i młodzieży szkolnej.

Oddział w Czarnym Dunajcu w okresie wiosennym jest współorganizatorem z Towarzystwem im. Knapczyka Ducha Wojewódzkiego Przeglądu Amatorskich Zespołów Teatralnych i Konkursu Orkiestr Dętych.

Oddział w Kościelisku organizuje imprezę pn. „Przednówek w Polanach”. Działający tam Zespół odniósł w roku 1978 wielki sukces na Międzynarodowym Festiwalu Ziemi Górskich — zdobywając „Złotą Ciupagę”.

Oddział w Ludźmierzu systematycznie wypracowuje bogaty program Domu Podhalańskiego, organizuje też w pomieszczeniach Domu sporo imprez oświatowych i artystycznych m. in. w ramach „Dni Karola Szymanowskiego”. Oddział w Ludźmierzu jest wydawcą jednodniówki „Podhalanka”, organu Związku Podhalan, redagowanego społecznym wysiłkiem i będącego mocną więzią wewnątrz-organizacyjną. Posiada bibliotekę z cennymi dziełami i pamiątkami najstarszych dziejów Podhala.

Oddział w Łapszach Niżnich, dzięki zrealizowaniu sztuki scenicznej pt. „Wesele spiskie”, napisanej przez Jana Plucińskiego, Honorowego Członka Związku, ożywił znacznie swoją działalność.

Oddział w Łopusznej organizuje co roku wspólnie z Gminnym Ośrodkiem Kultury imprezę regionalną pn. „Prucki”.

Oddział w Nowym Targu jest współorganizatorem dorocznego konkursu kapel góralskich, urzęda co miesiąc posiadają zespół pieśni i tańca „Swarni”.

Oddział w Poroninie organizuje corocznie, z bogatym programem, przegląd regionalnych zespołów Związku Podhalan pn. „Poroniańskie Lato”.

Oddział w Rabce jest współorganizatorem Dziecięcego Karpackiego Festiwalu Pieśni, Tańca i Muzyki.

Oddział w Zakopanem od 11-tu lat organizuje w każdy wtorek posiadają góralskie w świetlicy „Swarna”, ciesząc się niesłabnącą frekwencją. Organizuje również imprezy kulturalne w „Biłej Izbie”. Prowadzi dwa zespoły regionalne im. Klimka Bachledy i Bartusia Obrochty. Zespół Klimka Bachledy święcił swój wielki sukces podczas Międzynarodowego Festiwalu Ziemi Górskich w roku 1977 zdobywając po raz 3-ci „Złotą Ciupagę”. W roku 1978 zasłużony ten Zespół obchodził Jubileusz 25-lecia swojej działalności. W listopadzie 1978 r. Oddział powołał do życia regionalny teatr góralski. W dniach od 19 do 25 listopada zorganizowano jubileusz 70-lecia urodzin i 50-lecia artystycznej pracy społecznej prof. Juliana Reimsschüssla, zasłużonego dla Podhala, reżysera teatralnych sztuk regionalnych.

Oddział w Zubrzyicy Górnej organizuje co roku na terenie Orawskiego Parku Etnograficznego „Orawską Wiosnę”, imprezę kultywującą stare, miejscowe tradycje.

Oddział Kraków przeżywa od pewnego czasu kryzys organizacyjny.

Oddziały w: Mszanie Dolnej, Szczawnicy, Zębie i Białym Dunajcu nie wypracowały jeszcze pełnego programu działalności.

Witamy serdecznie nowy, 18-ty, Oddział Związku Podhalan w Działaniszcu, który powstał we wrześniu 1978 r. Życzymy mu pomyślnego rozwoju i wielu sukcesów w krzewieniu rodzimej kultury.

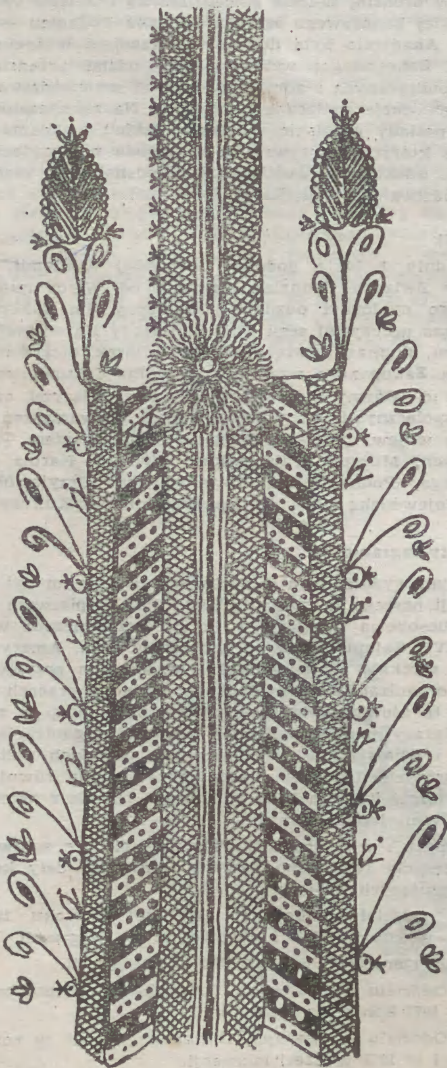
XXXII Zjazd Podhalan, który odbył się w Ludźmierzu w dniach 13 i 14 stycznia 1979 r. był wielkim wydarzeniem kulturalnym na Podhalu. Po raz pierwszy w Zjeździe uczestniczyła — obok delegatów Oddziałów Związku — młodzież zespołów regionalnych Podhala, Spisza, Orawy i Górców.

Tytuł honorowego członka Związku Podhalan otrzymał zasłużony działacz Michał Słowik Dzwon.

W XXXII Zjeździe Podhalan wziął udział — jako oficjalny przedstawiciel — prezes Zarządu Głównego Związku Podhalan w Ameryce Północnej, Józef Gil.

Obszerne sprawozdanie ze Zjazdu ukaże się w następnym „Podhalance”.

Prezes Związku Podhalan
mgr Jerzy Ustupski



Za nadesłane artykuły, wiersze i inne materiały, przekazane nam w całości nieodpłatnie, składamy wszystkim Autorom serdeczne podziękowanie.

ZARZĄD ODDZIAŁU ZWIĄZKU PODHALAN
W LUDŹMIERZU I KOMITET REDAKCYJNY

KOMITET REDAKCYJNY:

Włodzimierz WNUK — redaktor naczelny, Michał SŁOWIK-DZWON, Józef GABRYŚ, Olga KRUPOWA, Stanisław KRUPA, Andrzej KUDASIK, Jan PLUCIŃSKI, Tadeusz STAICH, Jerzy USTUPSKI.

ADRES: 34-471 LUDŹMIERZ — Związek Podhalan — Dom Podhalański im. Kazimierza Przerwy Tetmajera i Władysława Orkana.

SZATA GRAFICZNA:

— PIENIŃSKIE MOTYWY REGIONALNE — Michał Słowik-Dzwon.